VENOS STUDIO to działający
od 1999 roku zespół szkół artystycznych:

- Zerówka Muzyczna
- Szkoła Umuzykalniająca
- Prywatna Szkoła Muzyczna I i II st.
- Studium Muzyki Rozrywkowej

Przygotowujemy – z wieloma sukcesami –
instrumentalistów oraz wokalistów
do działań estradowych, udziału w przeglądach, konkursach, festiwalach.

www.venos.pl

BEDRIFT

magazyn bezpłatny zima 2011 ISSN 2084-0225

WSZYSTKIEGO CO DOBRE I MĄDRE NA ŚWIĘTA I NOWY ROK – ŻEBY BYŁO RADOSNE, TWÓRCZE I ŻEBY NIE UWIERAŁO W ZAKAMARKACH DUSZY

Jest taki czas...

[tekst ANNA OCHMANN, stylizacja i realizacja sesji fotograficznej JULIA PROMNIK i RYSZARD CZOP]

„Wyobraź sobie, że w zimowe popołudnie masz filiżankę herbaty, książkę, światło do czytania i dwie albo trzy poduszki do podłożenia. Teraz umość się wygodnie. Ale nie w sposób, którym chciałbyś pokazać innym, że jest ci pysznie, tylko tak jak naprawdę będzie dobrze tobie. Postaw herbatę w miejscu, w którym łatwo po nią sięgnąć, ale trudno kopnąć. Opuść abażur, żeby światło padało na książkę, ale nie za ostro i tak, byś nie widział żarówki. Poduszki daj do tyłu, jedna po drugiej, starannie, niech ci podtrzymują plecy, szyję i ramiona; teraz jesteś naprawdę wygodnie podparty i możesz popijać herbatę i czytać książkę, i marzyć – tak jak lubisz”. Przypominam sobie ten krótki opis prawdziwego komfortu autorstwa Christophera Alexandra w „The Timeless Way of Building”, gdy za oknem temperatura spadła znacznie poniżej zera, a ja oparta na... trzech poduszkach, z psem grzejącym mi stopy, zagłębiam się w lekturę. Prawdziwa domowa atmosfera, która w okresie świątecznym nabiera chyba dla wszystkich jeszcze większego znaczenia...

Prywatność i domowość to dwa wielkie odkrycia ery mieszczańskiej, choć znane już Ludwikowi XV... Po wprowadzeniu się do Wersalu król dokonał rewolucyjnej, jak na tamte czasy, zmiany w tak zwanych prywatnych pomieszczeniach. Oczywiście zarówno *lever* jak i *coucher* czyli publiczne spektakle królewskiego wstawania i kładzenia się spać w olbrzymiej oficjalnej sypialni pozostały, ale już tylko jako formalność. Tak naprawdę król spał w prywatnej części pałacu – Petits Appartements (zwanej tak nie ze względu na niedużą liczbę pokoi, ale na ich stosunkowo – jak na tamte czasy – nieduży rozmiar), do której obcy nie mieli wstępu. Ogromny wpływ na te zmiany miała kochanka, ale także doradczyni i przyjaciółka Ludwika XV – Antoinette Poisson czyli Madame de Pompadour. Wielka Mieszczka, dyletantka w polityce i decydentka w sprawach stylu dworskiego, a więc stylu... w ogóle. Zapoczątkowała, wśród francuskiego społeczeństwa, modę na urządzanie wnętrz, przyspieszając jednocześnie wprowadzenie takich pojęć jak prywatność, intymność czy właśnie komfort. O ile wówczas komfort oznaczał jednak przede wszystkim prywatność, to wiek XIX dodał do tego techniczne udogodnienia: światło, ogrzewanie czy wentylację, a wiek XX – funkcjonalizm i wygodę.

Siedząc teraz, w XXI wieku, z gorącą herbatą w przytulnym wnętrzu, cieszę się domową atmosferą. Zapachy miodu i goździków, piernikowych przypraw i świeżej jodły mieszają się z dźwiękami piosenki „To co zostanie” VOO VOO i śmiechem domowników. Przerzucam niespiesznie kolejne kartki wyjadając równocześnie prosto ze słoiczka smażoną późną jesienią, domową, dyniowo-pomarańczową konfiturę. Nastrojowe światło świec, których ogniki radośnie tańczą w szklanych obłościach bombek i ... *Ach! Nic nie daje takiego poczucia komfortu jak siedzenie w domu* (Jane Austen, Emma). Szczególnie w zimowy, świąteczny, magiczny czas.

Sesja została zrealizowana w Galerii Unikat w Chorzowie – wyjątkowym miejscu wypełnionym sztuką: obrazami, grafikami, fotografią artystyczną, ale także ręcznie wykonanymi elementami wystroju wnętrz czy oryginalną biżuterią. Unikatowymi przedmiotami z charakterem. Galeria oferuje także specjalistyczne zajęcia artystyczne dla dzieci i młodzieży, opracowanie projektów aranżacji wnętrz oraz wszelkich projektów graficznych.

BEDRIFT

przemysły veno's studio kultury

Wydawca:
VENOS STUDIO
Wenancjusz Ochmann
ul. Wolności 311
41-800 Zabrze

Redaktor naczelna/dyrektor kreatywna: Anna Ochmann
Zastępca redaktor naczelnej: Waldemar Grudzień
Dyrektor artystyczna: Anna Nykiel

Biuro redakcji: Monika Fesser-Larisz
Promocja, reklama oraz eventy: Iwona Głębocka
T: 32 777 44 10
F: 32 777 44 12
redakcja@bedrift.pl

Portal: **www.bedrift.pl**

Współpracownicy i autorzy: Borys Budka, Mateusz Czech, Ryszard Czop, Agata Etmanowicz, Marcin Kowalczyk, Katarzyna Kuczyńska-Budka, Danuta Mikusz-Oslislo, Wenancjusz Ochmann, Sebastien Pirlet, Julia Promnik, Marek Przybyła, Anna Sierakowska, Aleksandra Tręda, Robert Tworuszka, Magdalena Zakrzewska-Duda

Zdjęcia pochodzą także z: Narodowego Archiwum Cyfrowego, archiwum VENOS STUDIO, archiwum PSITUL MNIE, archiwum Fundacji ARTeria

Druk: Centrum Usług Drukarskich Henryk Miler

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów publikowanych tekstów, nadawania im nowych tytułów. Nie zwracamy tekstów niezamówionych oraz nie ponosimy odpowiedzialności za treść reklam i artykułów sponsorowanych.
Redakcja dołożyła wszelkich starań, aby skontaktować się z dysponentami praw autorskich. Ewentualne niedopatrzenia zostaną niezwłocznie skorygowane.
Reprodukcja i przedruk tylko za zgodą wydawcy.

BEDRIFT jest magazynem bezpłatnym, dostępnym w wyselekcjonowanych punktach na Śląsku.

Część każdego numeru magazynu BEDRIFT jest przygotowywana przez Fundację ARTeria.

Spis treści

Pasje

1-2
Jest taki czas...

4-7
Pokonywanie góry

20-21
Spowiedź generała

24-25
Muzyka jak dojrzewanie

28-29
Realne dobro w wirtualnym świecie

Współrzędne

8-11
Pewnego razu we flamandzkiej Wenecji...

30-31
Zamarznięte winnice

Inspiracje

14-15
Polskie barwy kampanii we are more

22
Szkoła, o (w) której się mówi w 6 językach

27
Rozśpiewany dramat

Spojrzenia

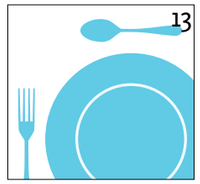

13
Wokół wigilijnego stołu

26
O prezentowych problemach...

Przekątne

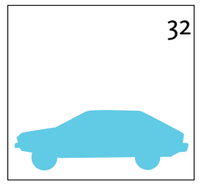

23
Kto smaruje, ten jedzie...

32
Polonez z Klaksonem

Poza tekstem

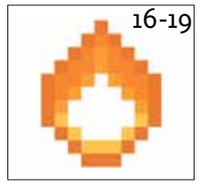

16-19
Grafika w retro stylu

Pokonywanie góry

[z **ANDRZEJEM WÓJCIKIEM** rozmawiał WALDEMAR GRUDZIEŃ,
zdjęcia z archiwum bohatera rozmowy oraz MARCIN KOWALCZYK]

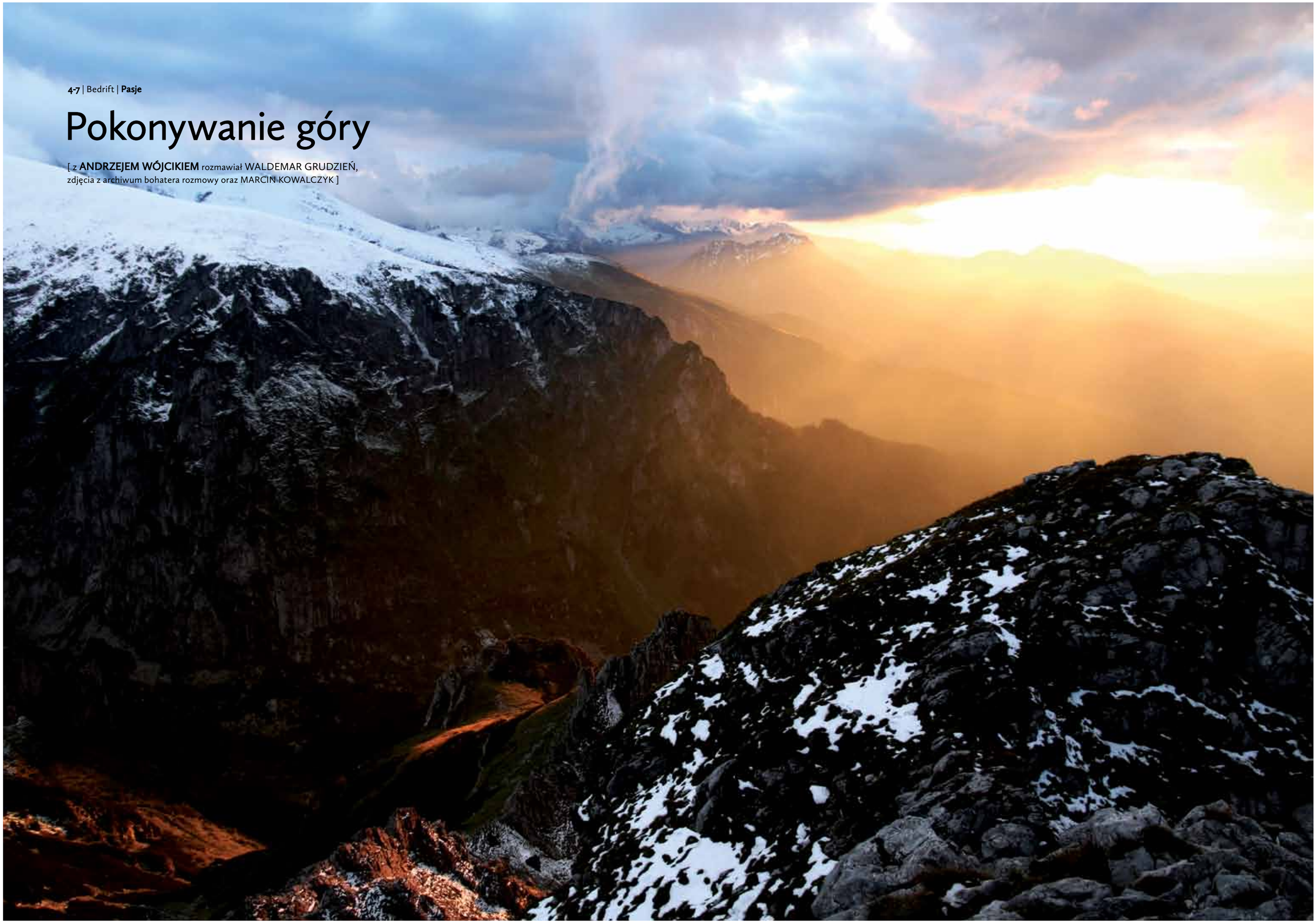

ANDRZEJ WÓJCIK, emerytowany górnik, pasjonat górskich wędrówek. Członek PTTK, założyciel Koła PTTK „Dromader” w Zabrzu. Przodownik turystki górskiej z uprawnieniami do prowadzenia wycieczek po wszystkich górach Polski.
Przeszedł dwukrotnie trzy główne szlaki Polski oraz Mały Szlak Beskidzki. Ma Honorową Odznakę PTTK (z numerem jeden) za przejście trzech Głównych Szlaków Górskich Polski. Z górskimi planami na przyszłość...

Po co tak naprawdę chodzimy po górach?
Coś nas wciąż wyciąga z domu. Teraz, gdy tych pieniędzy jest trochę więcej, nie chcemy tylko siedzieć zimą w fotelu, a latem na działce. Szukamy lepszego spędzenia czasu, w zgodzie z przyrodą. Widuję często na szlakach całe rodziny, nawet małe dzieci, maluchy w nosidełkach, a nieco starsze w fachowym obuwiu rozmiar 30. To bardzo sympatyczny widok, nawet jak niektórzy nie są przygotowani sprzętowo. Ja wiem, po co idę w góry i chciałbym, by każdy miał swoją osobistą motywację. Takie wędrówki mają wtedy głębszy sens.

Ale są czasem trudne...
Ostatnio z małą grupą natknęliśmy się w Dolinie Kondratowej, w miejscu nazywanym Piekło, na pasącego się niedźwiedzia. Na szczęście był na tyle najedzony, że nie zwracał na nas uwagi. Ale obawa o innych była, bo to nieobliczalne zwierzę. Zawsze staram się odpowiedzialnie prowadzić grupę i jak najlepiej chronić ją przed zagrożeniami. To między innymi także podanie maści nagietkowej na obtartą nogę, czy nawet transportowanie na plecach kogoś kto opadł z sił, jak to miało niedawno miejsce. Zanim powstał Andrzej-turysta, musiał sporo dostać od innych. Teraz jest czas, by to on dawał innym, ile tylko potrafi. A to dawanie jakże lepsze jest od tamtego brania! Bez pieniędzy, oklasków, pokłonów. Wystarczy, że ktoś powie – Andrzej, fajnie było. Czuję się wtedy fantastycznie, i fizycznie i mentalnie. Dzięki górom.

Właśnie, jak odbierają te wycieczki ci, którzy jeżdżą na nie mimo przeciwności losu?
Widzę na twarzach tych osób szczere uśmiechy. Są dumni z siebie, gdyż tylko oni wiedzą, jak im było trudno. Niektórzy dają się namówić na górski wypad po dłuższym czasie. Wpierw zastrzegają się, że kiedyś może i chodzili po szlaku, ale to było tak dawno, że nie pamiętają. Teraz niby już nie mogą... a potem się dziwią, że dają radę. Są naprawdę szczęśliwi. To radosne chwile dla wszystkich. Pytają mnie, jak to robię, że zarażam górami, przyrodą, przestrzenią. Nigdy nie rezygnuję, namawiam, przekonuję, opowiadam... Może mam dar „zarażania”?

Byłem kiedyś na szlaku z grupą niewidomych. Zastanawiałem się, po co oni tam idą, nie widzą tych krajobrazów, mgieł, nadciągających chmur...
Ja też miałem kiedyś w grupie osobę ociemniałą. Ten pan miał prawie cały czas w oczach łzy. Odwracał twarz w kierunku słońca, szukał dotyku gałązek mijanych drzew. Nasłuchiwał odgłosów lasu. Świadomie wybrał drogę pełną korzeni, kamieni, uskoków, choć miał do wyboru asfaltową ścieżkę. Szedł całym sobą, to było wspaniale.

Jak to się zaczęło z tymi wędrówkami?
Pierwsze były wycieczki w szkole, potem to tradycyjne w tamtych latach zakładowe wyjazdy. Ten pęd w górki, to mam trochę po ojcu. On też chodził po beskidzkich szlakach. Bardzo kochał góry, zawsze chciał tam być i był, kiedy tylko mógł. Dowiedziałem się o tym znacznie później, bo zginął, gdy miałem zaledwie trzy lata. Ale pamiętam domowe fotografie, te robione Zorką lub Druhem, czarno-białe świadectwo pielęgnowanej pasji, takiej na przekór całemu światu – mój ojciec nie miał nogi! Chodził na wycieczki mimo wszystko. W latach 70. jeździłem już sam, to były te zakładowe spędy spod znaku alkoholowej rozrywki, ale mnie to wtedy nie odpowiadało. Dobrze się czułem sam ze sobą w górach.

?.....
Mam wtedy sobie wiele do powiedzenia. Dużo się też dowiaduję o sobie i tak mnie to czasem bulwersuje, że potrafię krzyczeć na siebie. Jestem też zdolny zapiszczeć z zachwytu nad urokiem mgły na tle lasu lub zagwizdać pod wpływem piękna sowy zrywającej się do lotu. Czasem jest tak wspaniale, że domaga się to poetyckich strof. Szkoda, że nie jestem poetą. Pozostaje mi wtedy choćby pogadać z komarem. Co jak co, ale jego towarzystwo przestaje wtedy gryźć. Ten diabełek, który zawsze w nas siedzi podszeptuje nam w życiu przeróżne rzeczy, ale w głębokiej ciszy, w tym surowym szczerym krajobrazie jest coś, co pozwala nam lepiej zrozumieć otaczający świat, podjąć właściwą decyzję, rozgryźć siebie.

Ulubione szlaki, przełęcze, ścieżki...
Nie mam takich na wskroś ulubionych. Wszystkie miejsca są wspaniale cudowne, trzeba umieć je dojrzeć. W 2000 r. przeszedłem na emeryturę, kombinowałem, co by tu robić, by nie pić piwa z kolegami w pobliskim barze. I wtedy przypomniały mi się góry mojego ojca. Jego wyzwanie. Zapisałem się do PTTK, założyłem koło turystyczne, ale szybko też zacząłem chłonąć wiedzę o turystyce, szkolić się w kierunku jej propagowania. Zrobiłem uprawnienia przodownika – nie przewodnika. To różnica. Przewodnik za usługi turystyczne bierze wynagrodzenie, a przodownik działa społecznie, dla samej satysfakcji i czasem uznania uczestników wycieczki. Od razu wiedziałem, że moim kapitałem z chodzenia po górach jest wyłącznie radość z obcowania z naturą. Dziś mam uprawnienia na wszystkie góry w kraju. W obie strony przemierzyłem trzy Główne Szlaki Polski: beskidzki – 519 km, sudecki – 433 km i świętokrzyski – 105 km oraz Mały Szlak Beskidzki – 147 km. Opolski PTTK przyznał mi Honorową Odznakę za pokonanie tych szlaków. Z numerem jeden! Na cały kraj! To prawdziwa satysfakcja dla mnie i jestem z tego dumny. Dlatego nie myślę kategoriami – ulubiony, najlepszy. Dla mnie wszystkie góry są cudowne. Na swój sposób. Najważniejsze, by je zrozumieć, dostrzec ich piękno. Nawet te świętokrzyskie pasma, o których turyści z samochodu mówią, że takie nieokazałe, małe, że nie budzą respektu. Ale ja wiem, że gdy się tam jest, wszystko wygląda inaczej. Nawet wśród takich pagórków trzeba zachowywać się z pokorą. Dlatego nie ma dla mnie szczególnych gór i szlaków. Kocham po nich wędrować, najlepiej samotnie. Choć wiem, że zdarzają się kontuzje i wtedy można liczyć tylko na siebie. Nawet „zawodowcy” mają branżowe kontuzje i muszą leczyć się sami. Kiedyś w Beskidzie Niskim nabawiłem się zapalenia okostnej, noga spuchła, bardzo bolała, pojawiła się granatowa plama. Trudno było wędrować w takim stanie. Chciałem przerwać wędrówkę. W pewnym momencie na szlaku zobaczyłem żywokost – nie wiem skąd się ta wiedza u mnie pojawiła. Ale istotnie był to żywokost, potwierdzony potem przez znawców w schronisku. Przyłożyłem do rany i... poczułem znaczną ulgę. Mogłem iść dalej.

Po każdej wędrówce pozostaje swoista pamiątka.
Tak, mam taki zwyczaj, by to co się wydarzyło danego dnia zapisywać w zeszycie. Po każdym dniu marszu po głównych szlakach, gdzie jestem od 2007 r., po wieczornej kąpieli, nawet w stanie totalnego zmęczenia, czy fizycznego kryzysu, wyciągam zeszyt i notuję na gorąco swoje myśli. To moja pamiątka złożona z osobistych doznań, przeżyć, doświadczeń. Dawno odkryłem wędrowanie w pojedynkę, to prawdziwa przyjemność, ale nie namawiam innych do samotnych wędrówek. Ja mam doświadczenie i pokorę do gór. Zdzieram właśnie na szlakach jedenastą parę butów, więc sobie dam radę, ale inni niekoniecznie.

Zanim przyszły góry, był z życiu inny okres.
Wspomniałem o barze z piwem. Miałem w tamtym czasie złe z tym doświadczenia. Kto wie czy właśnie dlatego nie wybrałem takiego stylu życia? Szukałem po prostu ucieczki, a może ratunku? Dokonałem wyboru. Teraz wiem, że to był właściwy wybór. Turystyka. Na szlaku wciąż wdrapuję się na jakąś górę, zmagam się z nią, zmagam się ze sobą. Od kiedy to robię trzeźwieję codziennie. I na dziś wygrywam i to jest najważniejsze. A jeżeli po drodze pomogę innym odnaleźć siebie, odnaleźć właściwą drogę w życiu, to dopiero jest prawdziwa satysfakcja i spełnienie!

Pewnego razu we flamandzkiej Wenecji...

[tekst i zdjęcia ANNA OCHMANN]

Piątek

Brugia jest jednym z najczęściej odwiedzanych przez turystów miast w Belgii – to pierwsze zdanie z przewodnika powinno mnie od razu zaniepokoić, jednak wąskie, kręte uliczki biegnące pomiędzy malowniczymi kanałami zauroczyły nas kilka miesięcy wcześniej w trakcie oglądania filmu Martina McDonagha „Najpierw zwiedzaj potem strzelaj". Brugia w tym oryginalnym połączeniu komedii, dramatu, sensacji oraz makabreski ocierającej się o surrealizm (podaję za Internetem), to urocza sceneria przymusowych wakacji dwóch płatnych morderców, którzy tu romansują, zwiedzają, wdają się w sprzeczki z karłem-aktorem, wreszcie zabijają i są zabijani. Sceneria świetnie zachowanego średniowiecznego miasteczka.

Dlatego na weekendowy wypad tym razem wybraliśmy Brugię.

Nie zaniepokoił mnie także ogromny, kilkupoziomowy (choć podziemny, a więc nieszpecący miasta, za co chwała jego budowniczym) parking. Wolne miejsce znaleźliśmy dopiero na poziomie „minus 5" i to po dobrych kilkunastu minutach krążenia wzdłuż rzędów ustawionych dość ciasno samochodów. Zadowoleni ze słonecznej pogody, rozgadani, ciekawi miasta wyszliśmy z parkingowych podziemi i nagle... przypomniało mi się pierwsze zdanie z przewodnika – zostaliśmy dosłownie porwani przez rzekę ludzi płynącą w kierunku historycznego centrum.
Z głównego jej nurtu uciekliśmy zagłębiając się – przy pierwszej okazji – w wąskie, brukowane uliczki i dopiero wtedy mogliśmy poczuć prawdziwy czar Brugii. Niespiesznie błądziliśmy bez celu, czasem wstępując na krótkie degustacje do któregoś z licznych sklepików grandes maisons de chocolat (czyli producentów czekoladek), oferujących jeden ze słodkich symbolów Belgii – *pralines* z kremowym, czekoladowym lub orzechowym nadzieniem pokryte mleczną lub białą polewą. W zależności od zbliżającego się święta, pory roku czy fantazji, są to czekoladowe mikołaje, wiedźmy, a nawet kurczaki...
Tradycja wyrobu *pralines* sięga lat 80. XIX w., czyli czasów gdy Belgowie zajęli Kongo wraz z afrykańskimi plantacjami kakaowca. Kupowanie czekoladek w Belgii to rytuał – wybrane pralinki są zawijane w bibułki, układane w pięknych pudełkach – prawdziwa rozkosz dla oka i podniebienia. Przy Wijnzakstraat 2, w średniowiecznym budynku Huis de Crone – dawnej winiarni (XVI w.), piekarni ciastek (XVIII w.), a wreszcie fabryczce mebli (XX w.) – znajduje się muzeum czekolady Choco Story. Miejsce dla prawdziwych czekoladoholików.
Renomie belgijskich producentów czekoladek ustępuje tylko renoma belgijskich cukierników, więc już bardzo przesłodzeni docieramy do Callebert Design przy Wollestraat 25. Historia tego miejsca rozpoczęła się w latach 1904-1906 od sklepu ze szkłem i porcelaną. Od lat 50. specjalizował się on w belgijskich markach: val-saint-lambert (kryształy), boch frères (ceramika) czy baudour (porcelana). W 1965 roku kolejne, trzecie już, pokolenie kupieckiej rodziny Callebert postanowiło zmienić charakter firmy i wprowadziło do oferty nowoczesny design. W 2002 roku przy sklepie powstała galeria ART O NIVO – Centrum Sztuki Niezależnej realizujące m.in. projekty z artystami flamandzkimi i walońskimi pod hasłem *create together beauty without frontiers*. Zaczynamy zwiedzanie właśnie od galerii. Rozmawiamy o wizualizowaniu poezji – na ekspozycji szkło i tkanina artystyczna połączone są z interesująco rozwiązanymi graficznie... haiku. W takim miejscu nie może zabraknąć kawiarenki i tam właśnie umówiliśmy się z przyjaciółmi. Dyskusja o japońskiej formie poetyckiej zmienia się w wymianę poglądów o... Stevie Jobsie, gdy w jednej z gazet zwraca naszą uwagę ogłoszenie – podziękowanie ze słowami *The best way to forecast the future is to invent it. Thank you Steve*. Po chwili jest to już dynamiczna dyskusja pomiędzy mac-lubnymi i pc-zwolennikami, w którą włączają się kolejne osoby...

Street art przy wejściu do galerii ART O NIVO

Sobota

Wypożyczamy rowery i ruszamy znów niespiesznie w Brugię. Mijając wodne kanały, po których pływają liczne łódki z turystami, (na pomostach kłębią się kolejni chętni) przypomina mi się tamto pierwsze zdanie z przewodnika... W powietrzu unosi się jeden z moich ulubionych ragtimów – „The Entertainer" Scotta Joplina. Nieoczekiwanie źródłem muzyki okazują się... dzwony na ratuszowej wieży. W jazzowym nastroju mkniemy dalej mniej uczęszczanymi uliczkami. Brugia to właściwie niezniszczone średniowieczne miasto, wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. To prężnie rozwijające się w wiekach średnich międzynarodowe centrum handlu suknem podupadło, gdy pod koniec XV w. zamuliła się rzeka Żwin. W późniejszym okresie nie rozwinął się tu inny przemysł. Upływ czasu wyjątkowo litościwie obszedł się ze średniowieczną zabudową miasta. Obecni włodarze ogromną wagę przykładają do zachowania jego zabytkowego charakteru, nie ma więc w centrum wieżowców, bilbordów, a samochodowy ruch uliczny jest bardzo ograniczony. Zachowane w niemal niezmienionym stanie, z czasów intensywnej rozbudowy w XIII–XVI w., piękne kamieniczki i rezydencje, wspaniałe kościoły, urokliwe zaułki czy wreszcie pojawiające się znienacka mostki nad kanałami, uwodzą turystów. Stali mieszkańcy nie są specjalnie zadowoleni z życia w, jak czasem nazywają Brugię, „średniowiecznym Disneylandzie". Świetne połączenia promowe z Wyspami Brytyjskimi oraz bliskość granicy holenderskiej powodują, że wśród turystycznego tłumu najczęściej identyfikujemy właśnie Anglików i Holendrów.

Wąską alejką zwaną ulicą Ślepego Osła (Bliende Ezelstraat) jedziemy na targ pod gołym niebem – codziennie wcześnie rano sprzedaje się tu świeże ryby i owoce morza. Kilka minut później wjeżdżamy na, znajdujący się pomiędzy jednym z kanałów a uliczką Dijver, targ staroci. Większość oferowanych tu rzeczy niekoniecznie zaliczyłabym do antyków czy nawet staroci, ale przyjemność buszowania wśród często zaskakujących, śmiesznych, a nawet wzorniczo dość paskudnych przedmiotów, jest wielka. Zmęczeni i zmarznięci (jest tylko kilka stopni powyżej zera, a przy dużej wilgotności powietrza i bliskości kanału poczucie przenikliwego zimna staje się jeszcze dotkliwsze) chcemy usiąść w jednej z licznych knajpek i napić się gorącej herbaty. Niestety kolejne próby kończą się niepowodzeniem, jest przecież pora lunchu. O tej porze w większości tutejszych lokali można, owszem, zjeść południowy posiłek, ale blokowanie stolika na samą herbatę... – nie bierzesz do ręki menu? Nie masz miejsca! Napoje podaje się tylko na zewnątrz. Po raz kolejny przypominam sobie przewodnikowe zdanie... ogromna liczba turystów powoduje niestety, że właściciele lokali mogą sobie pozwolić na takie traktowanie klientów. W końcu zdesperowani decydujemy się na *moules marinières* (małże gotowane w białym winie), do których dostajemy kilka frytek.
I wymarzoną gorącą herbatę.
Przed wieczornym spotkaniem w jednym z browarów wybieramy chwile relaksu w brugijskim beginażu. Begijnhof przy Wijngaardplein 1 to zaciszny teren poprzecinany

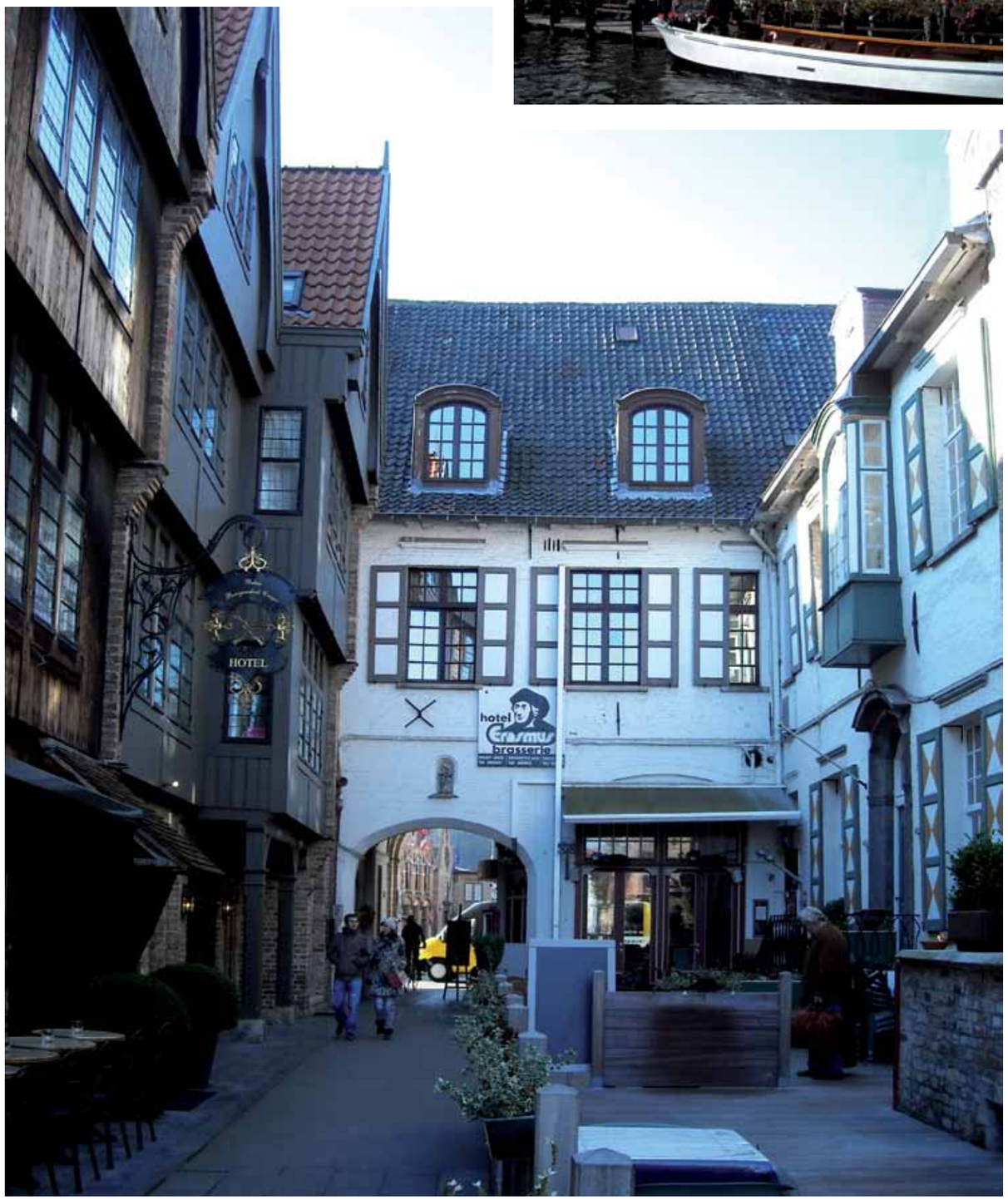

kanałami, pełen zieleni i niedużych, białych domków. Beginaże to były miejsca mieszkania kobiet należących do stowarzyszenia religijnego beginek, powstałego w średniowieczu. Zwykle stanowiły je: zespół niewielkich domków z małym kościołem (ten w Brugii pochodzi z 1602 r.) lub kaplicą i szpitalem, a także zabudowania gospodarskie. Domy w beginażu mogły być jedno- lub – dla mniej zamożnych beginek i nowicjuszek – wieloosobowe. Spacerując pomiędzy drzewami wzdłuż szeregu domków wspominamy równie urokliwy beginaż w Leuven, jeden z największych w Belgii, obecnie zaadaptowany przez uniwersytet na kwatery dla studentów (domki z czerwonej cegły, urokliwe skwery, brukowane uliczki i mostki, a wszystko otoczone murem).

Oprócz słodkości charakterystycznym produktem w Brugii (a właściwie w całej Belgii) jest piwo. Wieczorem wybieramy się więc na kolację połączoną z piwną degustacją – do jedynego obecnie „rodzinnego" brugijskiego browaru De Halve Maan (połówka księżyca) przy Walplein 26. Mamy do wyboru: Brugse Bok, Hendrik Blond, Henrik Bruin, Henrik Quadrupel, Hendrik Triple, Brugse Zot Blond, Brugse Zot Dubbel....

Niedziela

Myśl, że znowu będziemy przeciskać się przez miasto w tłumie turystów powoduje, że podejmujemy decyzję o ucieczce... nad morze. Dwadzieścia kilometrów lokalnymi drogami i spacerujemy po plaży Morza Północnego. Jest odpływ, więc po ubitym po cofnięciu się wody piasku, chodzi się lekko. Wokół ludzie bawią się z psami, cieszą się słońcem. Rozkładamy koc, wyjmujemy nasz piknikowy koszyk – nawet nie marzyłam o dniu spędzonym w ten sposób na plaży tak późną jesienią. Czas mija niespiesznie, zimny wiatr wieje od lądu, więc schowani za wysoką wydmą (niektóre mają po dwadzieścia metrów wysokości i oddzielają od morza równinną, zabagnioną Flandrię – liczne poldery są tu położone do dwóch metrów p. p. m) nie czujemy jego podmuchów.
Wybrzeże belgijskie liczy zaledwie ponad sześćdziesiąt kilometrów długości. Jest jednak zarówno bardzo dobrze zagospodarowane turystycznie – można wybierać wśród licznych, często charakteryzujących się piękną architekturą i tradycją miejscowości wypoczynkowych – jak również jest źródłem najbardziej charakterystycznych potraw kuchni belgijskiej, by wymienić małże czy krokiety krewetkowe (specjalność kulinarna właśnie nadmorskich miejscowości).

Mijając w drodze powrotnej zjazd na Brugię, widzimy sznur samochodów próbujących wydostać się na autostradę – jak na komendę wybuchamy śmiechem. Wszak *Brugia jest jednym z najczęściej odwiedzanych przez turystów miast w Belgii....*

Wokół wigilijnego stołu

[tekst KATARZYNA KUCZYŃSKA-BUDKA]

Wigilia u cioci Ireny i wuja Jana. Pięknie nakryty stół, domownicy i goście w eleganckich strojach. W tle cichutko sączą się z głośników kolędy. Przedświąteczna sielanka. Pojawia się jednak zgrzyt. Wujek Marian kręci nosem, że siedzieć ma koło nielubianej przez niego kuzynki Krysi, piętnastoletnia Michalina wywraca oczami, że wigilię umilą jej nieustanne uwagi cioci Jasi, a jej dawno niewidziany kuzyn Marek został posadzony przy drugim końcu stołu, więc znikąd odsieczy się nie spodziewa. Czy przy świątecznym stole można uniknąć tego typu niesnasek? Czy jest wzór „stołu doskonałego"?

Plan stołu.

Cóż... muszę Was rozczarować – wzoru stołu idealnego nie ma, są za to uniwersalne wskazówki, które mogą pomóc nam nie tylko cieszyć się towarzystwem wujka Mariana, ale i uniknąć skwaszonej miny nastoletniej Michaliny – choć tu gwarancji nigdy nie ma ;).
Proponuję zacząć tak:
Gospodarze przyjęcia robią listę gości. Wśród nich wyznaczają najbardziej szacownych. Zakładając, że przy stole zasiądą rodzina i przyjaciele, kluczem do wyznaczenia miejsc nie będzie ich status zawodowy czy sprawowana funkcja – choć i one, w momentach zwątpienia, mogą nam nieco pomóc.

Gospodarze vis-à-vis.

Gospodarze powinni siedzieć naprzeciw siebie – w ten sposób mogą swobodnie widzieć wszystkich gości oraz dyskretnie komunikować się między sobą – to w sytuacji, gdy siedzą przy dłuższych bokach stołu. Mogą też zająć miejsca naprzeciwko siebie przy krótszych bokach stołu. Przy gospodarzu, z jego prawej strony, sadzamy najszacowniejszą kobietę. Jej męża, bądź innego, najważniejszego mężczyznę, sadzamy po prawej stronie gospodyni. Kolejne ważne miejsce jest po lewej stronie gospodarza – to także miejsce dla kobiety. W dalszej kolejności postępujemy analogicznie pamiętając, by rozsadzać kobiety i mężczyzn, nie sadzać koło siebie małżonków i osób przebywających stale razem (np. matki i syna). Ta zasada ma swe źródło w przekonaniu, że najlepszą konwersację przy stole prowadzi się z osobami, których dawno nie widzieliśmy, bądź ich nie znamy. Wyjątek stanowić mogą – wedle zwyczaju – pary narzeczeńskie. Dzisiaj jednak, w sytuacji, gdy wiele związków jest niesformalizowanych, może warto rozsadzić przebywających ze sobą na co dzień partnerów?

Rozsadzamy antagonistów.

Najważniejsza wskazówka to ta, by nie sadzać koło siebie ludzi niedarzących się sympatią. Unikniemy wówczas potrzeby ingerencji gospodarzy – ich rolą bowiem jest dbanie o odpowiednie serwowanie potraw i trunków, ale także o właściwą atmosferę przy stole.
Pamiętajmy też, że rodzinno-przyjacielskie świąteczne spotkanie to nie czas na rozmowy o sprawach drażliwych. Unikajmy też tematów kontrowersyjnych, do których zalicza się np. polityka czy stan naszego zdrowia – możemy dyskutować o podróżach, literaturze, muzyce, kinie, modzie, kuchni czy uprawianiu ogrodu. Zawsze jednak pamiętamy, że rozmowy mają mieć charakter kurtuazyjny, a w ich trakcie nie nawiązujemy do porażek w danej dziedzinie któregokolwiek z biesiadników lub osób im bliskich. Gdy jednak pojawi się drażliwy temat, rolą gospodarzy jest przejąć inicjatywę i w niezauważalny sposób zmienić temat rozmowy. Gospodyni zaprasza do stołu kobiety, gospodarz – mężczyzn i wchodzi do jadalni ostatni. Wskazują gościom miejsca. Dobrze, by były one oznaczone ozdobną wizytówką.

Gospodyni kończy wigilię.

Gospodyni kończy posiłek ostatnia. Po porozumieniu się wzrokiem z gospodarzem i upewnieniu się, że wszyscy już zjedli, gospodyni składa serwetkę i w ten sposób daje znak, że wigilia jest skończona. Idąc za przykładem gospodyni, goście kładą serwetkę na stół z lewej strony talerza. Nie składają jej tak starannie, jak była ułożona przed użyciem, ale też nie pozostawiają jej w nieładzie.

Przyjęcie skończone. Udało się posadzić wujka Mariana z dala od kuzynki Krysi, a Michalinę koło kuzyna Marka. Szacowna ciocia Jasia z dumą spoglądała na gości siedząc tuż koło gospodarza. Dziadek Michaliny miło gawędził z przyjacielem Józefem i choć obaj są entuzjastami polityki, pamiętali o tym, by nie poruszać tego tematu przy stole. To możliwe. Choć nie zawsze łatwe. Życzę więc niezapomnianych świąt i spotkań przy stole wypełnionych jedynie miłymi rozmowami.

KATARZYNA KUCZYŃSKA-BUDKA
filolog, specjalista public relations. Zajmuje się komunikacją społeczną i kreowaniem wizerunku, doradza w kampaniach promocyjnych. Kieruje biurem prasowym Wojewody Śląskiego.

Polskie barwy kampanii we are more

[tekst ANNA SIERAKOWSKA, współpraca AGATA ETMANOWICZ, MAGDALENA ZAKRZEWSKA-DUDA, zdjęcia SEBASTIEN PIRLET, archiwum Fundacji ARTeria]

1 W trakcie Europejskiego Forum Kultury (20-21 listopada 2011 r. w Flagey w Brukseli) członkowie Culture Action Europe zorganizowali akcję flash mobową, w którą zaangażowali się liczni uczestnicy Forum. Manifest akcji został odczytany przez Chrisa Torcha ze szwedzkiego INTERCULT oraz Eminę Višnić z Centrum Sztuki Niezależnej POGON z Zagrzebia. Różowe balony poniosły hasło we are more.

2,3 Międzynarodowe grono ekspertów i operatorów kultury – członków Culture Action Europe – dyskutowało w październiku w Brukseli nad rozwojem kampanii we are more na poziomach narodowych. Także: Lawrence Okey Ugwu, dyrektor gdańskiego NCK, który został wybrany do Zarządu Culture Action Europe i jest obecnie jedynym przedstawicielem Polski w tym gronie, Magdalena Zakrzewska-Duda, Ewa Majczak oraz Anna Ochmann.

Kultura to nie tylko artystyczne wartości czy kreatywność, to także ważny element rozwoju społecznego, gospodarczego czy terytorialnego. Zgodnie z danymi Eurostatu ponad 90 proc. mieszkańców Starego Kontynentu uważa, że kultura powinna odgrywać istotną rolę w rozwoju Unii Europejskiej. Statystyki pokazują także, że sektor kreatywny generuje 2,6 procent unijnego PKB, a więc często więcej niż tradycyjne gałęzie gospodarki, jak na przykład przemysł samochodowy. Jednocześnie bezpośrednie wsparcie sektora kultury wynosi obecnie zaledwie pół procenta obecnego budżetu UE. Eksperckie diagnozy wskazują, iż bez zwiększenia inwestycji w kulturę – równolegle z inwestycjami w edukację, spójność społeczną i ochronę środowiska naturalnego – Unia Europejska nie osiągnie założonych celów w zakresie wzrostu i rozwoju określonych w Strategii Europa 2020. Dlatego Culture Action Europe – międzynarodowa organizacja społeczeństwa obywatelskiego i jednocześnie polityczna platforma dla sektora kultury i sztuki – zainicjowała w październiku 2010 roku ogólnoeuropejską kampanię na rzecz kultury i sztuki pod nazwą we are more. Kampania ma na celu wpłynięcie na kształt kolejnego budżetu UE (obowiązującego od roku 2014) poprzez wzmocnienie Programu Kultura (który powinien być bardziej odważny i eksperymentalny niż ten obecnie obowiązujący) oraz poprzez zwiększenie wsparcia dla sektora kultury w innych unijnych programach UE – szczególnie tych poświęconych spójności oraz rozwojowi regionalnemu. Kampania, realizowana w strategicznym partnerstwie z Europejską Fundacją Kultury, jest prowadzona w systemie open source, zapewniając poprzez stronę internetową wearemore.eu narzędzia ułatwiające wszystkim włączenie się w kampanijne działania. Jest także realizowana na poziomach konkretnych państw czy regionów przez członków Culture Action Europe. W Polsce przez Międzynarodowe Centrum Kultury z Krakowa, Fabrykę Sztuki z Łodzi, Nadbałtyckie Centrum Kultury z Gdańska oraz Fundację ARTeria z Zabrza.

Agata Etmanowicz z Fabryki Sztuki: – *Narodowe Centrum Kultury włączyło się w kampanię w roli partnera strategicznego. W ramach działań promocyjno-informacyjnych planowane jest m.in. stworzenie polskiej strony internetowej we are more oraz wersji materiałów graficznych kampanii. Przed końcem 2011 r. wydany zostanie „Przewodnik dla wspierających kampanię" uzupełniony o artykuły przybliżające jej założenia oraz dostarczające argumentów do rzecznictwa na rzecz kultury. Kampania będzie też obecna w wydarzeniach organizowanych w kraju – zarówno artystycznych, jak i na konferencjach. Od początku roku 2012 w całej Polsce organizowane będą warsztaty, których celem będzie „przetestowanie" Przewodnika w praktyce, a także wyposażenie organizacji i instytucji kulturalnych w argumenty konieczne do efektywnego lobbowania na rzecz kultury – na każdym z poziomów: lokalnym, regionalnym, narodowym, europejskim.*

Magdalena Zakrzewska-Duda z gdańskiego NCK: – *nasze najbliższe plany: włączymy się w program ogólnopolskiej kampanii koordynowany przez Fabrykę Sztuki z Łodzi. Do maja 2012 roku przeprowadzimy cykl warsztatów w Gdańsku oraz, w miarę możliwości, w kilku innych miastach północnej Polski związanych z kampanią. Prowadzimy akcję mailingową zachęcającą do poparcia kampanii, a do końca roku będziemy zbierać podpisy pod manifestem kampanii podczas dwóch dużych wydarzeń kulturalnych w Trójmieście: NARRACJE 2011 – Instalacje i Interwencje w Przestrzeni Publicznej Natura Miasta oraz METROPOLIA JEST OK w Gdańsku, Sopocie i Gdyni.*

Wszystkich zainteresowanych włączeniem się w kampanijne działania w Polsce południowej zapraszamy do kontaktu z biurem zabrzańskiej Fundacji ARTeria.

Mały słowniczek przydatnych pojęć

Europejska Agenda Kultury w dobie globalizacji – pierwszy polityczny dokument z zakresu kultury przyjęty w 2007 roku na poziomie europejskim, dający podstawy do skoordynowanych działań Unii Europejskiej w tej dziedzinie. Został zaproponowany przez Komisję Europejską. Ma trzy główne założenia: promocję różnorodności kulturalnej i dialogu międzykulturowego, promocję kultury jako katalizatora kreatywności oraz promocję kultury jako istotnego elementu stosunków zewnętrznych UE.

Polityka spójności – koncentruje się na redukcji różnic pomiędzy regionami w Unii Europejskiej w zakresie gospodarczym, społecznym i rozwoju terytorialnego. Stanowi 35 proc. całkowitego budżetu Unii, jest więc drugim największym wydatkiem po rolnictwie. Jej trzy główne cele to: konwergencja regionalna, konkurencyjność i zatrudnienie oraz europejska współpraca terytorialna. Działa poprzez trzy instrumenty: Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego (EFRR), Europejski Fundusz Społeczny (EFS) oraz Fundusz Spójności.

Kompetencje Unii Europejskiej – obszary, w których Unia Europejska ma prawo do podejmowania decyzji, zostały określone w Traktatach. W obszarze kultury, Unia posiada kompetencję wspierającą (art.167 Traktatu Lizbońskiego), co oznacza, że może jedynie interweniować w celu wsparcia, koordynacji lub uzupełnienia działań państw członkowskich, ale nie posiada bezpośredniej władzy ustawodawczej. Kompetencje w zakresie kultury pozostają, w zależności od państwa, na poziomie krajowym, regionalnym lub lokalnym.

Program Kultura – jedyny obecnie instrument Unii dedykowany wyłącznie wsparciu sztuki i kultury. Jego trzy cele to: promocja ponadgranicznej mobilności osób pracujących w sektorze kultury, wsparcie międzynarodowego obiegu dzieł sztuki oraz promocja dialogu międzykulturowego. Wspiera krótko- i długoterminowe projekty współpracy kulturalnej, projekty tłumaczeń literackich, festiwale, a także bieżącą działalność europejskich sieci.

Strategia Europa 2020 – europejska strategia gospodarcza na lata 2010-2020, która zastąpiła Strategię Lizbońską. Ma na celu zrównoważony rozwój sprzyjający włączeniu społecznemu oraz zwiększenie konkurencyjności gospodarki UE opartej na wiedzy. Strategia ta na ważnym miejscu stawia „innowacje", nie odnosi się jednak bezpośrednio ani do kultury, ani do kreatywności.

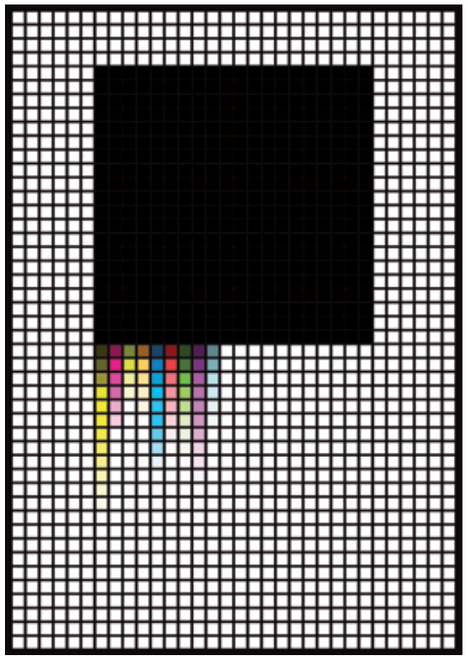

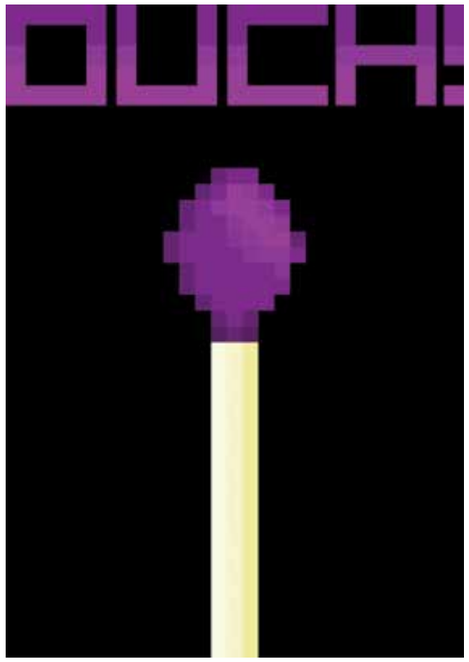

Grafika w retro stylu

[grafiki MATEUSZ CZECH]

Mateusz Czech – absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, a zarazem rasowy geek, który pasjonuje się retro grami wideo, komiksami, Japonią oraz sztuką. W swojej twórczości wykorzystuje przede wszystkim piksele przenosząc je na plakaty czy koszulki, inspiruje się postaciami z gier wideo. Oprócz szeroko pojętej grafiki, którą można scharakteryzować jako minimalistyczną, tworzy także muzykę w autorskim projekcie „I Set My Pixels On Fire", którego głównym celem jest promowanie chiptune w Polsce. Wykorzystuje układy dźwiękowe konsol i komputerów nadając jej unikalne brzmienie, a jego podstawowym instrumentem, zarówno podczas koncertów jak i domowych sesji muzycznych, jest stara przenośna konsola Nintendo – Game Boy Classic z 1986 roku. W wolnym czasie poświęca się prowadzeniu bloga geek-world.pl.

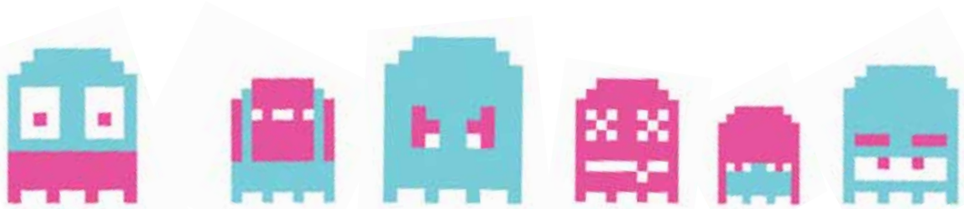

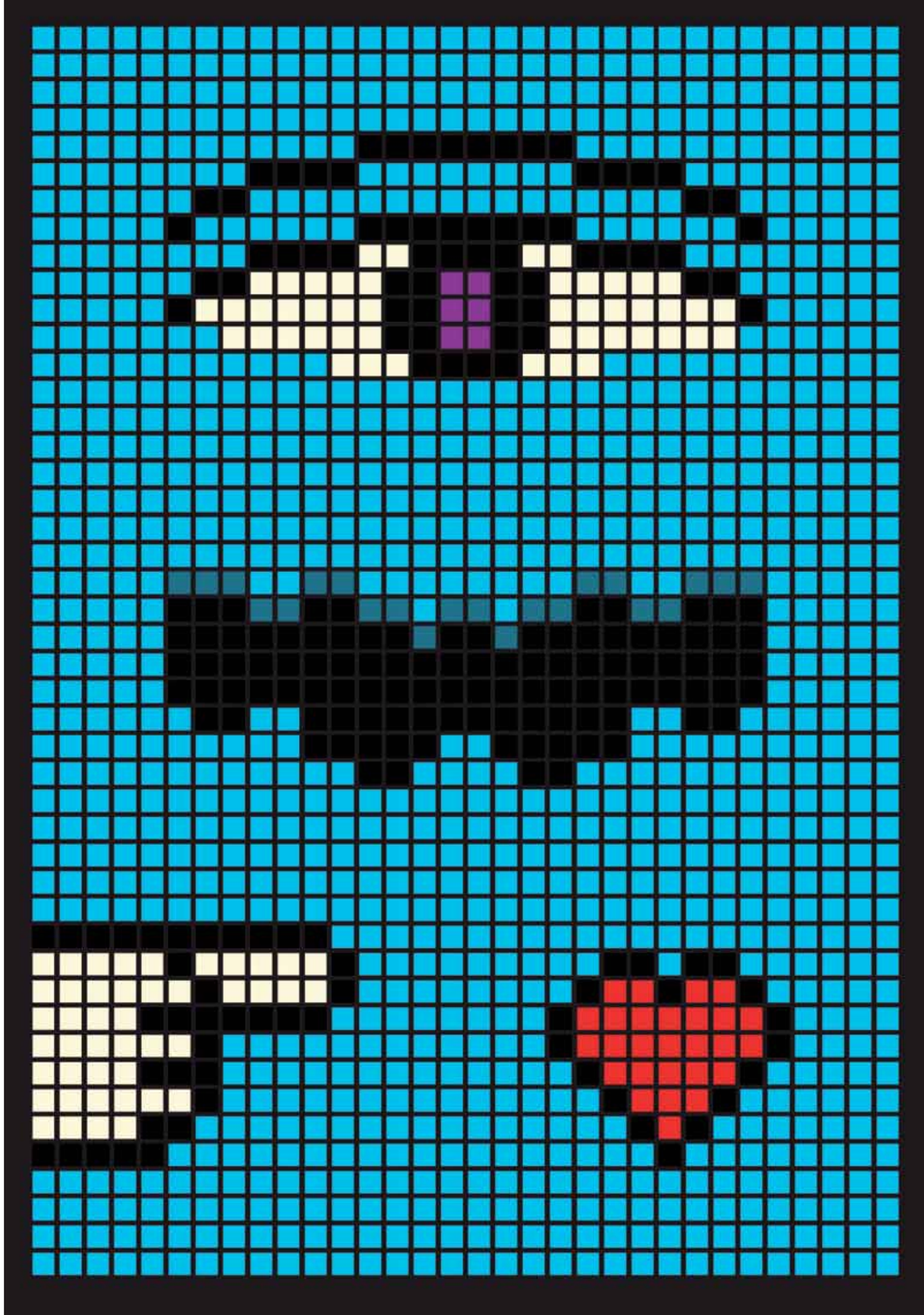

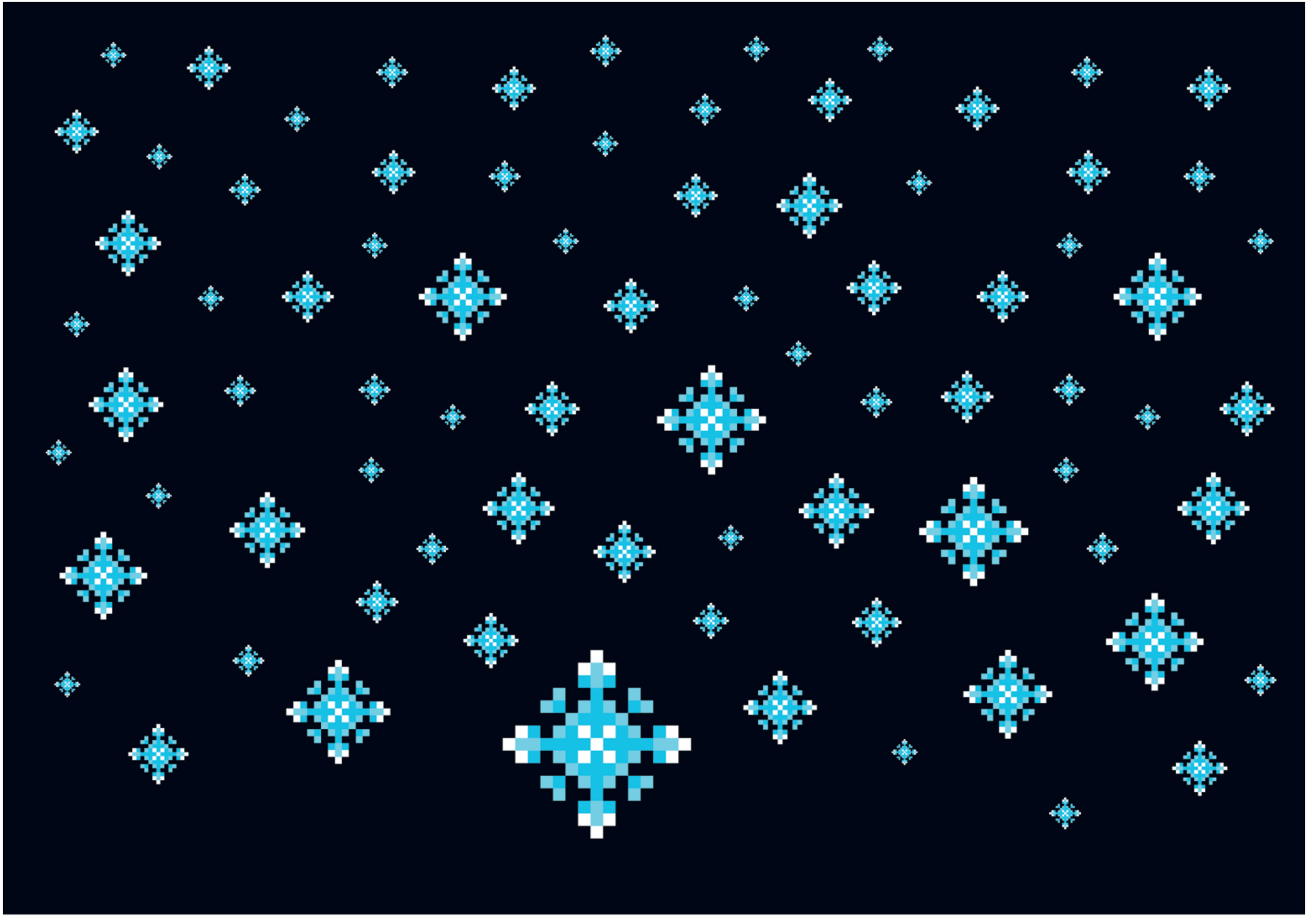

Spowiedź generała

[tekst ANNA SIERAKOWSKA, współpraca: ALEKSANDRA TRĘDA, ROBERT TWORUSZKA, zdjęcie z zasobów Narodowego Archiwum Cyfrowego]

Przemierzył wiele dróg, ale myślał wciąż o jednym – wolnej Polsce.

Paweł Łaszkiewicz wybrał Szkołę Podchorążych Lotnictwa w Bydgoszczy – grupa techniczna w Warszawie. To szkoła elitarna, kandydatów obowiązywał egzamin konkursowy. Z kilkuset chętnych przyjmowano tylko czterdziestu najlepszych.

W kadrze pedagogicznej byli świetni nauczyciele (często także wykładowcy z politechniki) nie tylko z „wojskowości", lecz także z matematyki, historii, psychotechniki, języków obcych (młody podchorąży uczy się języka niemieckiego i francuskiego). Zaszczepiali w młodych chłopcach pasje, rozwijali ich zainteresowania.
Szczególny nacisk kładziono na ćwiczenia sprawności fizycznej i psychicznej. „Niebezpieczeństwo i żywioł", które miały hartować przyszłych oficerów, to – zgodnie z oceną przełożonych – sporty wodne. Paweł Łaszkiewicz wziął więc udział w kursie żeglarskim na jeziorach augustowskich. Szkolenie prowadzili instruktorzy Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej. Jego opiekunem-nauczycielem był bosman Mieczysław Wróblewski, kolega z chełmińskiego Korpusu Kadetów. Spotkali się parę lat później, w dużo bardziej dramatycznych okolicznościach...

Lato 1937 roku. Ustianowa.
To znany od 1931 r. (kiedy na zboczach Żukowa zwiad lotniczy Dęblińskiej Sekcji Lubelskiego Klubu Lotniczego wypróbował szybowiec – własnej produkcji – NN-bis) ośrodek szkoleniowy. Bardzo dobre warunki termiczne i doskonałe „noszenia" umożliwiały szybkie szkolenie pilotów. W 1933 r. na Holicy (762 m n.p.m.) i grzbietach pasma Żukowa zostało zbudowane ogromne, znane w całej Europie, nowoczesne górskie lotnisko szybowcowe (wyposażone w szybowce typu: „Salamandra", „Delfin" i „Rekin", duże hangary, infrastrukturę lotniczą, lotnisko w dolinie i wyciągarki dla szybowców na stokach Żukowa). Odbywały się tu co roku zawody szybowcowe, także o zasięgu krajowym. Ośrodek lotniczy rozwijał się dynamicznie, w 1936 r. obejmując już: Ustianowę Centralną, Żuków, Równię i Gromadzyń.

Paweł Łaszkiewicz wziął również udział w kursie szybowcowym. Pierwszy etap to ćwiczenia na makietach szybowców szkolnych (tak zwanych „wronach"). Przy sprzyjającej pogodzie, „wrony" były zawieszane na specjalnych „szubienicach", które umożliwiały korektę podwieszenia w zależności od kierunku wiatru. Opanowanie umiejętności sterowania „wroną" wymagało czasem kilku godzin, a nawet dni ćwiczeń i było warunkiem przejścia do następnego etapu szkolenia. Tym razem nie korzystano już z „szubienicy". Do haka w przedniej części „wrony" doczepiane były grube liny gumowe, napinane siłą rąk kolegów – uczestników kursu. Po osiągnięciu odpowiedniej siły naciągu, zaczep był zwalniany, a szybowiec jak z katapulty wystrzeliwał w przestrzeń. Pozytywna ocena kilkunastu takich lotów pozwalała na rozpoczęcie ćwiczeń na szybowcach wyższej klasy – „Salamandrach". Paweł Łaszkiewicz odbył, warunkujący ukończenie kursu, lot ślizgowy w linii prostej przez 30 sekund i uzyskał kategorię szybowcową „A".

Rok później, także latem, uczestniczył w kursie pilotażu motorowego. Szkolenia odbywały się na byłym lotnisku wojskowym (na Polu Mokotowskim) użytkowanym przez Aeroklub Warszawski. Sytuacja polityczna w kraju w 1938 roku była coraz bardziej napięta, kadra wojskowa miała inne zadania, więc zajęcia prowadzone były przez cywilnych pilotów aeroklubu (zgodnie jednak z zaleceniami wojskowych przełożonych). Paweł Łaszkiewicz otrzymał dyplom pilota sportowego.

Marzec 1939 rok.
Oficer techniczny Paweł Łaszkiewicz, po ukończeniu Szkoły Podchorążych, dostał przydział do 220 dywizjonu bombowego I Pułku Lotniczego w Warszawie. Jego pułk otrzymał przydział nowych „Łosi", najnowocześniejszych w tamtych czasach w polskim lotnictwie.
„Łoś" to skonstruowany w latach trzydziestych przez Jerzego Dąbrowskiego czteromiejscowy dwusilnikowy średni bombowiec wyposażony w chowane w locie podwozie i rozbudowaną mechanizacją płata. Seryjna produkcja rozpoczęła się dopiero w 1937 roku, dlatego też do wybuchu wojny zdołano wyprodukować tylko około 120 maszyn.

W sierpniu ogłoszono mobilizację.

[fragm. książki **UJAWNIONY** Anny Ochmann]

Bliskie spotkania z historią

Fundacja ARTeria wspólnie z zabrzańską firmą VENOS STUDIO wydały w 2011 roku książkę „Ujawniony", przybliżającą historię żołnierskiej drogi generała brygady Pawła Łaszkiewicza (pseudonim „Rawicz"), od 1947 r. mieszkańca Zabrza. Wydawnictwo opowiada historię „Rawicza", od czasów jego edukacji (Korpus Kadetów, Szkoła Podchorążych Lotnictwa w Bydgoszczy), poprzez udział w Kampanii Wrześniowej, działalność konspiracyjną podczas okupacji niemieckiej, aresztowanie przez Rosjan i wywiezienie do obozów w Riazaniu-Diagilewie. Kolejne etapy to ucieczka i dwa tysiące kilometrów drogi powrotnej do Polski, jego działalność jako szefa wywiadu i kontrwywiadu, inspektora Inspektoratu WiN Biała Podlaska oraz moment ujawnienia i przyjazd do Zabrza.

Samoloty „Łoś" na warszawskim lotnisku w sierpniu 1939 r.

Spotkania poświęcone książce i jej bohaterowi odbyły się w ostatnich miesiącach w kilkunastu miejscach, ostatnio także na Śląsku – w Zabrzu oraz w Gliwicach. Zabrzańskie zostało zorganizowane 3 listopada br. w świetlicy Zespołu Szkół nr 3. Wzięli w nim udział przedstawiciele władz miasta, Wojskowej Komendy Uzupełnień, Armii Krajowej oraz autorka książki, wnuczka generała Łaszkiewicza, Anna Ochmann.

Robert Tworuszka, historyk, organizator spotkania: *Paweł Łaszkiewicz swoją postawą dał wyraz głębokiego patriotyzmu. Należał do żołnierzy podziemia niepodległościowego i antykomunistycznego, stawiających opór próbie sowietyzacji Polski i podporządkowania jej ZSRR. Tacy żołnierze jak on byli przez lata wymazywani z kart historii przez władze komunistyczne. Tym większy szacunek i uznanie dla jego dokonań. Szkolny Klub Historyczny im. AK stawia sobie za cel zbieranie i rejestrowanie relacji świadków historii. Świadków, których dziś jest już coraz mniej. Ważne jest, aby o przemilczanych do niedawna faktach mogła dowiedzieć się nie tylko młodzież, ale i ludzie średniego pokolenia wychowani w czasach komunistycznych. Takie cele przyświecały właśnie spotkaniu społeczności szkolnej z Anną Ochmann. Uczestnicy spotkania obejrzeli także prezentację multimedialną na temat dziejów polskiego podziemia niepodległościowego pod koniec i po II wojnie światowej, przygotowaną i zaprezentowaną przez pracownika IPN dr Adama Dziubę.*

Aleksandra Tręda, organizatorka i prowadząca spotkanie 23 listopada br. w I Szkole Społecznej w Gliwicach: *Młodzi ludzie często pytają: Po co nam historia, po co grzebanie w przeszłości? To oczywiste, trzeba myśleć o przyszłości, ale nie wolno zapominać o przeszłości. A w jaki sposób mieć wciąż „na oku" historię? Sposobów jest kilka – jeden z nich pokazała Anna Ochmann w swojej książce „Ujawniony". Pokazała losy swojego dziadka i jednocześnie patrioty, który prawie całe życie ukrywał prawdziwą tożsamość i jednocześnie dawał świadectwo wielkiej odwagi i miłości do Ojczyzny. Dodatkowym atutem książki jest jej wspaniała oprawa graficzna i doskonała jakość wydawnicza. Pani Anna zainspirowała kilkoro uczniów, którzy pod koniec spotkania również zaprezentowali swoje małe-wielkie historie rodzinne. Judyta Wojtala, Maja Puente-Bartłomiejczyk, Ewa Paciorek, Agata Holik, Szymon Gorczyca, Szymon Sołowiów, Wojciech Pyttel i Tomasz Cieśliński opowiedzieli o swoich bliskich, którzy w różnych okolicznościach stali się częścią wielkiej historii Polski okresu II wojny światowej. Mam nadzieję, że to wspaniałe spotkanie uświadomiło uczniom, że historia to nie nudny przedmiot szkolny, a jej poznawanie, to tak naprawdę wspaniała przygoda, podczas której ukochany dziadek stanie się też godnym naśladowania bohaterem.*

Dziesięć pierwszych osób, czytelników Bedrifta, które zgłoszą się do Fundacji ARTeria, otrzyma egzemplarz „Ujawnionego".

Parterami tego projektu wydawniczego są:

Szkoła, o (w) której się mówi w 6 językach

[tekst MAREK PRZYBYŁA]

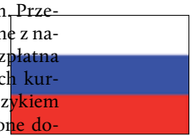

Jeśli interesuje Cię język i kultura wyspiarskiej Anglii, pracowitych Niemiec, pełnej temperamentu Hiszpanii, słonecznych Włoch, eleganckiej Francji czy też bezkresnej Rosji to jesteśmy tym czego szukasz! Jak pokazują opinie i osiągnięcia naszych kursantów Szkoła Języków Obcych Deutsch uczy skutecznie nie tylko języka niemieckiego. Jaki jest naszym zdaniem klucz do sukcesu? Małe grupy nakierowane na rozwijanie praktycznych umiejętności językowych.

Nasze 17-letnie doświadczenie na rynku edukacyjnym pozwoliło nam na wypracowanie efektywnych i elastycznych metod nauczania, które jesteśmy w stanie dostosować do zróżnicowanych potrzeb każdego klienta. W naszej ofercie znajdują się m.in.:
- kursy dla dzieci (już od 6 roku życia) – łączące zabawy językowe z usystematyzowaną nauką,
- kursy dla młodzieży szkolnej i studentów – ogólne oraz przygotowujące do egzaminów końcowych (tj. egzaminu gimnazjalnego czy maturalnego na obu poziomach zaawansowania),
- kursy dla studentów – ogólne i przygotowujące do egzaminów międzynarodowych (np. FCE, CAE, TOEIC, TOEFL, Zertifikat Deutsch),
- kursy dla osób dorosłych – uwzględniające ograniczenia czasowe i finansowe osób pracujących, czyli oferujące standardową wersję dwóch spotkań w tygodniu oraz elastyczną wersję jednego spotkania w tygodniu w ramach zajęć grupowych i dodatkowego bezpłatnego spotkania drugi raz w tygodniu w ramach bezpłatnych zajęć dodatkowych dla osób chętnych.

Coraz większym zainteresowaniem cieszą się także kursy dla seniorów, stanowiące doskonałą okazję do spotkania we własnym gronie i zrobienia czegoś dobrego dla samego siebie – w myśli idei, że na naukę nigdy nie jest za późno.

Do naszych klientów należą także firmy i instytucje samorządowe, dla których organizujemy specjalistyczne szkolenia językowe z dojazdem do ich siedziby na terenie całego województwa. Kursy te uwzględniają profil działalności firmy oraz specyfikę potrzeb poszczególnych jej komórek i działów.

Każde zajęcia zapewniają naszym kursantom i lektorom poczucie dobrze zrealizowanego zadania, gdyż małe grupy (liczące od 4 do 8 osób) stwarzają każdej osobie możliwość pełnego zaangażowania, a także gwarantują indywidualne podejście lektora. Ponadto w przypadku nieobecności kursanta, cotygodniowe konsultacje lektorów dają możliwość nadrobienia zaległości czy też wyjaśnienia wszelkich pojawiających się wątpliwości językowych. Niezależnie od wieku kursantów czy też poziomu znajomości języka zajęcia prowadzone są pod kątem rozwijania umiejętności porozumiewania się, dlatego niezbędnym elementem naszych zajęć są konwersacje. Prowadzone są one w rozmaitych formach począwszy od zabaw, a skończywszy na dyskusjach w oparciu o artykuły prasy zagranicznej. Ponadto wypracowany system utrwalania i automatyzacji podstawowych zwrotów umożliwia nawet początkującym grupom sprawne radzenie sobie z sytuacjami życia codziennego poza granicami naszego kraju.

Najczęstszą bolączką osób zaczynających swoją przygodę z językiem obcym jest strach przed mówieniem. Przełamywaniu tych barier służą zajęcia konwersacyjne z native speakerami, które organizowane są jako bezpłatna forma dodatkowych zajęć dla wszystkich naszych kursantów. Z kolei dla osób posługującym się już językiem obcym w stopniu komunikatywnym stwarzają one doskonałą okazję do „szlifowania" akcentu. Grupy dziecięce natomiast korzystają z kids chatu, dzięki któremu od najmłodszych lat wyzbywają się one zahamowań w komunikowaniu się w obcym języku.

Nasz zespół składa się energicznych i pełni pasji lektorów, którego prace nadzorują doradcy metodyczni. Swoim entuzjazmem i pomysłowością połączonymi z doświadczeniem zawodowym budują oni atmosferę sprzyjającą procesowi nauczania i uczenia się. Ich zaangażowanie potwierdzają także wieczorki tematyczne organizowane z myślą o krzewieniu wiedzy o kulturze i obyczajach naszych zagranicznych sąsiadów – tych bliższych i dalszych.

Jeśli chcesz udoskonalić swoje umiejętności językowe, rozpocząć naukę zupełnie nowego języka lub odświeżyć wiedzę z lat poprzednich, serdecznie zapraszamy do jednej z naszych siedzib: w Chorzowie, Zabrzu, Gliwicach lub Krakowie.

Przyjdź i zostań z nami! Twoje zadowolenie będzie naszym sukcesem!

szkoła języków obcych DEUTSCH

Kto smaruje, ten jedzie...

[tekst WALDEMAR GRUDZIEŃ]

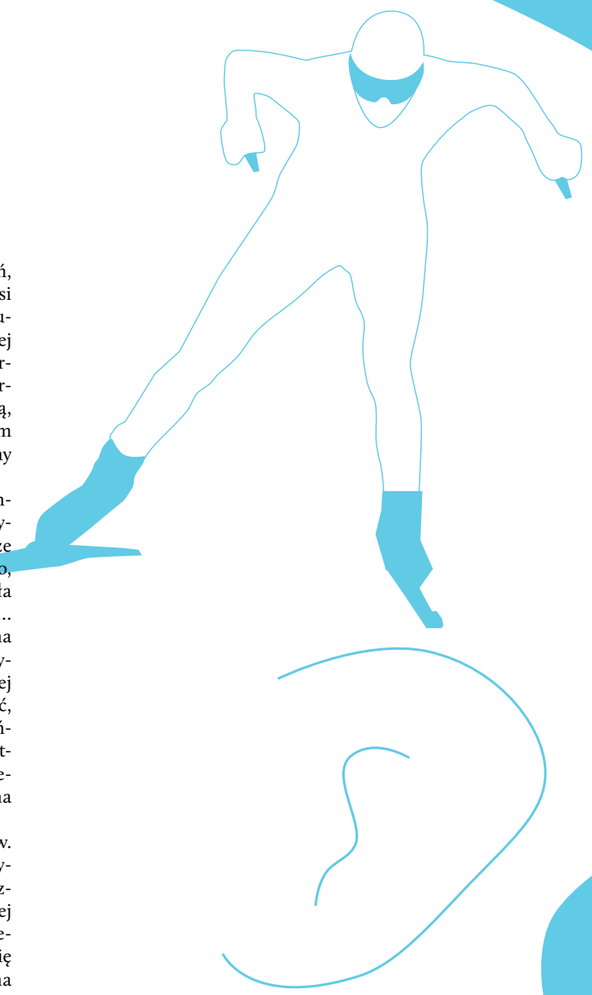

Za oknem coraz zimniej, śnieg spadnie lada dzień, a nasza kochana „kopana" z orzełkiem czy bez, zawiesi wkrótce rozgrywki na dłuższy czas, dlatego pora przerzucić się czym prędzej w kibicowaniu na dyscypliny bardziej na czasie. I co my tu mamy? Ano mizernie, panie, mizernie. Nasz narodowy Orzeł (co my Polacy ciągłe z tym orłem...?) z Wisły niestety przestał już latać nad skocznią, zamieniając śnieg na dakarskie piaski, więc została nam tylko KK – Królowa z Kasiny Wielkiej. I na niej skupimy nasz telewizyjny wzrok w najbliższych miesiącach.
Do kolejnego ważnego, acz pozbawionego imprez rangi mistrzowskiej sezonu, jak to ma w zwyczaju, Justyna przygotowała się solidnie. Pokazały to już pierwsze zawody, na których podopieczna mistrza Wieretelnego, może nie znalazła się w czołówce, ale zasygnalizowała dobrą dyspozycję i duży potencjał fizyczny. No właśnie... Nasza najlepsza niewątpliwie w historii biegaczka na nartach będzie chciała w tym sezonie, jak to ma w zwyczaju, utrzeć ponownie nosa norweskiej narodowej gwieździe i wygrać kolejny puchar. Co by nie powiedzieć, obie są bardzo silne, wytrzymałe, zmotywowane i o końcowym sukcesie może zadecydować tym razem błahostka. Tylko czy zwykły sportowy spryt, umiejętność przechytrzenia przeciwnika „głową", zdrowa kalkulacja na trasie to istotnie błahostka?
Kowalczyk ma idealne warunki do treningów i startów. Jeździ po świecie z własną ekipą serwismenów, jednymi z najlepszych na świecie, a podczas zawodów mieszka w wynajętym dla niej indywidualnie domku. I to jej się należy. Ale do pokonania Marit Bjoergen trzeba czegoś więcej. W moim mniemaniu wszystko rozegra się w tym roku właśnie w głowie, a w tej materii Justyna jak dotąd wydawała się słabsza od rywalki. Nie raz, nie dwa bywało, że na końcowym etapie biegu, gdy już tylko we dwie zmierzały do mety, Justyna w swej nieprzepartej chęci pokonania astmatycznej „koleżanki" spinała się, usztywniała, traciła zimną krew popełniając błędy, które miały wpływ na końcowy wynik. Czasem pojechała źle na zjeździe po łuku, nie na czas zmieniła tor jazdy, podbiegła w klasyku łyżwą. I tu właśnie leży pies (w śniegu) pogrzebany.
Skoro utrzymanie naszej biegaczki i tak kosztuje już krocie, czy nie należałoby jeszcze trochę posmarować, tzn. dołożyć związkowego grosza i wynająć dla Justyny dobrego psychologa, biegłego w sportowych niuansach? Moim zdaniem tak. Taki ktoś miałby za zadanie chłodzić gorącą głowę Królowej i podszeptywać psychologiczne sztuczki, po których narciarska Norwegia wpadnie w jeden skandynawski szloch. Ale to ja tak uważam, bo mam wiele czasu na przemyślenia i nie o moją kasę chodzi. Ciekawe jednak, co na ten temat sądzi prezes Polskiego Związku Narciarskiego? Na razie się niestety nie dowiemy, bo Tajner pojechał właśnie do krawca. Szyje garnitur na ślub córki z Czerwonym...

Muzyka jak dojrzewanie

[z **KATARZYNĄ KUPIEC** rozmawiała ANNA SIERAKOWSKA, zdjęcia archiwum VENOS STUDIO]

Uczniowie zabrzańskiej Prywatnej Szkoły Muzycznej każdego roku, w grudniowe i styczniowe wieczory, zapraszają na koncerty kolęd i piosenek zimowych. Takie spotkania ze słuchaczami często kończą się wspólnym muzykowaniem – to już tradycja. Ich przygotowaniem i prowadzeniem zajmuje się w Studium Muzyki Rozrywkowej VENOS STUDIO Katarzyna Kupiec. To wyjątkowy pedagog, czynnie działający muzyk, prawdziwy przewodnik muzyczny dla kolejnych adeptów trudnej sztuki śpiewu estradowego. Związana jest z Prywatną Szkołą Muzyczną od chwili jej powstania w 1999 roku.
Odwiedziliśmy salę prób, aby przez chwilę z nią porozmawiać:

Zeszłoroczny koncert świąteczny słuchaczy Studium Muzyki Rozrywkowej. W tym roku koncerty odbędą się między innymi w Teatrze Nowym oraz w Kinie Roma.

Czym jest dla Pani muzyka?
Jest dla mnie wszystkim. Zajmuje całe życie zawodowe, prywatne, także emocjonalne. Zaraziłam się nią w bardzo młodym wieku, a potem rosłam i dojrzewałam razem z nią. Parę razy pokazała mi, że jest bardzo wymagająca, ale skoro ją przyjęłam do swego życia musiałam te wymagania zaakceptować. Muzyka potrafi dać dużo satysfakcji, potrafi wzruszyć, a także wspierać. Dzisiaj nie wyobrażam sobie życia bez muzyki. To wyjątkowy dar.

Pani muzyczne inspiracje?
Przez lata bardzo się zmieniały. Najpierw, dość dawno temu, były to przede wszystkim piosenki poetyckie, później pop, potem jazz, blues... Dziś to co mnie najbardziej porywa, to chyba amerykański soul. Uwielbiam słuchać mocnych, soulowych, „dużych" głosów, fantastycznych sekcji rytmicznych, znakomitych aranżacji. Fascynuję się także muzyką gospel, przede wszystkim z powodu jej ogromnych walorów muzycznych.

Proszę zdradzić najbliższe plany.
Moje muzyczne zamierzenia kształtują się dwutorowo. Z jednej strony praca zawodowa w szkołach, w tym jako nauczyciel śpiewu w Prywatnej Szkole Muzycznej VENOS STUDIO. Z drugiej aktywność artystyczna – zajmuję się tworzeniem muzyki w zespole, który powstał także z mojej inicjatywy. Daje mi to ogromną radość, satysfakcję – takie oderwanie od rzeczywistości. Od wielu już lat udzielam się także w chórze gospel. Oba te zespoły koncertują i są bardzo aktywne artystycznie.

Porozmawiajmy o pasjach...
Zajęcia z młodzieżą. Od wielu lat pracuję w zabrzańskich gimnazjach oraz w VENOS STUDIO, gdzie mogę tę właśnie pasję realizować. To niesamowite i inspirujące. Praca pełna nieoczekiwanych sytuacji, umożliwiająca poznawanie ludzi, ale także własny rozwój. Tutaj nie ma mowy o „bylejakości" zajęć. Młodzi ludzie mają dar wyczuwania ludzi – dajesz z siebie wszystko, a jak nie – odchodzą. Niezwykle satysfakcjonujące jest obserwowanie, jak powoli, systematycznie, rodzi się w nich pasja do muzyki, jak tworzą artystyczne plany i jak widzą siebie w przyszłości na scenie. Niezależnie od tego, czy się to im uda czy nie, jest to właśnie niesamowite i niezwykle energetyczne. Zwłaszcza, jak im się uda!

PS. Zapraszamy na koncerty wychowanków szkoły.
Więcej na www.venos.pl.

O prezentowych problemach...

[z BORYSEM BUDKĄ
rozmawiała ANNA OCHMANN]

Okres bożonarodzeniowy to czas, w którym obdarowujemy bliskich prezentami. Może się jednak okazać, że pod choinką znajdziemy trzy takie same książki, sweter od cioci będzie o dwa numery za duży, a płyta z wymarzoną grą komputerową po prostu nie działa. Co wtedy możemy zrobić?

Niestety, nie da się podać jednej recepty na każdy z podanych wyżej przykładów. Zupełnie różne są sytuacje, gdybyśmy chcieli oddać prezent, bo nam się po prostu nie podoba, czy też ma niewłaściwy rozmiar, od tych, w których otrzymana rzecz ma wady, bądź też w krótkim okresie się zepsuła.

W takim razie skupmy się tym razem na niechcianych sweterkach, za dużych dżinsach czy też kolejnej, takiej samej książce... W jaki sposób możemy oddać sprzedawcy prezent, który nam nie odpowiada?

Należy rozróżnić dwa przypadki. Po pierwsze, gdy prezent został kupiony „stacjonarnie", czyli w klasycznym sklepie. W takim przypadku prawo nie przewiduje obowiązku przyjęcia przez sklep towaru, który nam się nie podoba, bądź też ma niewłaściwy rozmiar. Ale na szczęście nic straconego. Wiele sklepów, zwłaszcza sieciowych, daje klientom taką możliwość. Nie ma jednak reguły co do terminu, do którego możemy oddać niechcianą rzecz. Nie zawsze też jest możliwy zwrot, czasami sprzedawcy zgadzają się na wymianę na inny produkt albo wyłącznie na inny rozmiar, oczywiście pod warunkiem, że takowy posiadają. Ale praktycznie wszystkie sklepy wymagają od nas dowodu zakupu, czyli paragonu. A tych zazwyczaj nie dołącza się do prezentów.

Naprawdę, nie można oddać rzeczy, jeżeli np. rozmyślimy się i już nam się nie podoba? Co z prawami konsumenta, o których tyle się mówi?

To właśnie ten drugi wariant. Rzeczywiście, konsument ma zagwarantowaną możliwość odstąpienia od umowy, bez podawania przyczyn, ale tylko w określonych przypadkach. Chodzi tu o sytuacje, gdy rzecz została kupiona poza lokalem przedsiębiorstwa, czyli najczęściej wysyłkowo (w sklepie internetowym albo w firmie specjalizującej się w sprzedaży katalogowej). W takim przypadku zasadą jest, że konsument może odstąpić od umowy w ciągu 10 dni od otrzymania rzeczy i wystarczy, że w tym terminie wyśle sprzedawcy odpowiednie oświadczenie. Konsument musi otrzymać z powrotem całość ceny, którą zapłacił. Ale uwaga, uprawnienie to przysługuje tej osobie, która kupiła rzecz, a nie osobie, której tę rzecz potem podarowała.

No dobrze, a co w przypadku, gdy mamy dowód zakupu, ale rzecz została kupiona np. dwa tygodnie przed świętami?

Cóż, albo uprosimy sprzedawcę, żeby pozwolił nam oddać rzecz czy też wymienił na inną albo... pozostaje nam zalogowanie na portalu, na którym sami możemy ją sprzedać.

Podstawa prawna: ustawa z 2 marca 2000 r. o ochronie niektórych praw konsumentów oraz o odpowiedzialności za szkodę wyrządzoną przez produkt niebezpieczny.

DR BORYS BUDKA
radca prawny, adiunkt w Katedrze Prawa Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach.

Rozśpiewany dramat

Musical i film muzyczny wciąż cieszą się sympatią publiczności, zarówno na świecie, jak i w Polsce

[tekst WALDEMAR GRUDZIEŃ]

W każdym dobrym filmie fabularnym muzyka jest nieodłącznym atrybutem powodzenia u jego odbiorców. Jakby nie była ona eksponowana przez reżysera, jest tylko jednak ilustratorką poszczególnych scen, lejtmotywem łączącym kolejne kadry, tłem dla aktorskich dialogów. Zgoła inaczej rzecz się ma w filmie muzycznym i musicalu. Tam spływające do ucha widza dźwięki mają fundamentalne znaczenia dla odbioru dzieła. W tym przypadku to muzyka, a nie aktor, obsadzona jest w roli głównej...

Musical to przede wszystkim Ameryka. Powstawał etapami wywodząc się z variétés lub rewii, w których można było doszukać się wpływów klasycznej europejskiej operetki. To rodzaj widowiska posługującego się wypróbowanymi środkami teatru dramatycznego i muzycznego. Występują w nim pojedyncze postacie lub wieloosobowe chóry. Przy ich udziale rozgrywają się scenariuszowe zdarzenia, wszyscy tańczą i śpiewają. Dialogi są mówione i śpiewane, a ważną rolę pełni monolog-piosenka. Każdej akcji towarzyszy muzyka z wykorzystaniem, w miarę technicznego zaawansowania, efektów scenicznych w zakresie scenografii, światła, środków specjalnych, itp. Niemal zawsze akcja musicalu to dramatyczne przeżycia bohaterów zmierzające do wyraźnego finału – szczęśliwego happy endu, najczęściej w ramionach ukochanego, ukochanej lub tragicznej (rzadziej) śmierci z rozterki.

Za pierwszy amerykański musical uważana jest „Oklahoma!" z roku 1943. Za nim, lawinowo pojawiły się następne, m.in. „Karuzela" (1945), „Południowy Pacyfik" (1949), „Kawalerowie i laleczki" (1950), a potem „Dźwięk muzyki" (1959) i nieśmiertelne: „Hallo, Dolly" (1964), „Skrzypek na dachu" (1964). Nieco inne w założeniach, bo oparte na literackich wzorach były: „Poskromienie złośnicy" (1948), „My Fair Lady" według „Pigmaliona" (1956), „West Side Story" według „Romea i Julii" (1957), oraz „Kabaret" (1966), i autobiograficzna „Evita" (1978) - o Ewie Peron.

Mamy i my nieśmiałe próby nawiązania do tej tradycji muzycznej sztuki, by wymienić słynne już „Na szkle malowane" oraz „Nagą" – musical z udziałem Niebiesko-Czarnych. Najnowsze, znane powszechnie to „Metro".

Czymś pośrednim między musicalem a filmem fabularnym, z dobrą wyeksponowaną muzyką, jest film muzyczny. Starsi czytelnicy pamiętają zapewne słynny „Świat się śmieje" z niedocenianą Lubov Orłową, radziecką odpowiedź na amerykańską musicalową inwazję. Zachód nie zamierzał jednak odpuszczać, także w tej materii nieco lżejszej niż pióropuszowe produkcje na niekończących się schodach i szybko pokazał publiczności Freda Astaire'a, Ginger Roger w wielu wspólnych filmach i nieco później konkretne, pojedyncze, pamiętane do dziś obrazy: „Hair", „Cały ten zgiełk", „Gorączka sobotniej nocy" i bliźniaczy „Grease". Wszystko zaczęło się jednak od „Śpiewaka z jazzbandu" z lat 20., który uważa się za pierwszy film muzyczny w USA. Potem była m.in. „Noc w operze" z braćmi Marx z lat 30. i wiele innych o znanych tytułach i nie mniej znanych aktorach w nich grających.

Prawdziwy rozkwit tego gatunku filmowego nastąpił w latach 80. i 90. Przytoczmy tylko dwa tytuły: „New Jork, New Jork" – z Lizą Minnelli i Robertem de Niro oraz „Chicago" z Catherine Zetą-Jones, Renee Zellweger i Richardem Gerem. Spoza amerykańskiej ziemi wyszedł natomiast film „Tańcząc w ciemnościach" z tajemniczą, nieodgadnioną i utalentowaną Bjork, której w filmie partnerowała Catherine Deneuve. Jedną z najnowszych produkcji rodem z amerykańskiej fabryki snów (w tym wypadku muzycznych) była „Mamma Mia" z muzyką i piosenkami słynnej w latach 70. szwedzkiej grupy Abba. W tym sympatycznym filmie biorące w niej udział gwiazdy kina Meryl Streep i Pierce Brosnan, spróbowały również swoich umiejętności wokalnych. W pierwszym przypadku z pozytywnym skutkiem, w drugim z opłakanym.

Realne dobro w wirtualnym świecie

[tekst DANUTA MIKUSZ-OSLISLO,
zdjęcie archiwum PSITUL MNIE]

Puste schronisko to najlepsze schronisko. Ech, pomarzyć tylko, a tu puk, puk codzienność przypomina się bezlitośnie. Organizowanie różnych akcji to dzisiaj konieczność, no chyba że schronisko jest w bogatej Wielkiej Brytanii (i to bynajmniej nie państwowe) albo w Polsce – w mieście, które finansuje swój azyl dla bezdomnych zwierząt na przyzwoitym poziomie. Znamy takie, ale jest ich bardzo mało… Niestety nasze takie nie jest.

Kilka lat temu doszliśmy do wniosku, że w Psitulu są psiaki, które mają małą szansę na adopcję. Niektóre z racji podeszłego wieku (doświadczenie wykazuje, że powyżej 8. roku życia praktycznie jest to prawie niemożliwe), inne dlatego że nie potrafią mieszkać z człowiekiem i zachowywać się jak na domownika przystało. Jeszcze inne wymagają od potencjalnego właściciela znajomości psiej psychiki, umiejętności radzenia sobie z problemami wychowawczymi.

Stąd zrodził się, jak na tamte czasy w naszym kraju nowy, pomysł na wirtualną adopcję, czyli adopcję na odległość. Dla tych, którzy chcą pomóc zwierzakom schroniskowym, a nie mogą zabrać ich do siebie bo nie mają po temu warunków, spróbowaliśmy obliczyć miesięczny koszt utrzymania psa – jedzenie, legowisko, czip, opiekę weterynaryjną, szczepienia, sterylizację, krótko „wikt i opierunek". Wyszło około 50 zł miesięcznie, więc, żeby nikogo nie zniechęcić, zaproponowaliśmy 30 zł. To za przywilej określenia się wirtualną mamą lub takimże tatą, a nawet całą rodzinką, dla psa lub kota. Początki były trudne – zero reakcji z zewnątrz – więc sami daliśmy przykład. Aktywiści Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami i solidaryzujące się z nimi osoby podjęli się wyzwania. Na stronie Psitula pojawiły się pierwsze informacje o zaadoptowanych pieskach i kotach. Powolutku dołączali do nas ludzie z różnych stron Polski, z zagranicy. Dołączyły się szkoły, rozwinęła się super współpraca z przedszkolami i lista „problemowych" piesków, które miały pozostać w schronisku, wyczerpała się. Następnym krokiem było przeznaczenie wszystkich naszych zwierzaków do adopcji wirtualnej!

A potem ruszyło!!! Są dni, w których wszyscy nasi schroniskowi podopieczni mają wirtualne familie, niektóre podwójnie a nawet potrójnie!

Wirtualni tworzą już dużą Psitulową rodzinę. Jest w tym bardzo motywujący dowód zaufania do naszej pracy, świadomość, że ktoś w Lublinie, w Amsterdamie, w Kielcach interesuje się losem sierot, które trafiły pod naszą opiekę. Mało który rodzic może przyjechać i wyprowadzić przysłowiowego Dżekiego na spacer. Pozwala nam za to działać. A my mamy wolontariuszy robiących czasem zdjęcia psom w plenerze, potem możemy je wysyłać z wiosennymi lub jesiennymi pozdrowieniami. Zawsze spotyka się to z miłymi reakcjami. „Wirtualni" wysyłają nam pytania, jak radzą sobie ich podopieczni, bywa, że przysyłają paczki ze smakołykami – dokumentujemy wtedy odebranie paczki przez psiaka z nosem wśród chrupek, kosteczek i psich łakoci.

W kilku przypadkach „wirtualny rodzic" naprawdę zaadoptował po pewnym czasie swojego psa lub kota. To jedne z milszych momentów naszej pracy. Wysyłamy wtedy radosne mailowe wiadomości „hurra! Miga znalazła domek – zabrali ją młodzi sympatyczni ludzie i zamieszka w Gliwicach", albo „Adi czekał na domek 10 lat a teraz pojechał do Krakowa i obszczekuje dom z ogródkiem". Są i smutne, kiedy piesek odchodzi za Tęczowy Most, bo czekał, czekał i nikt go nie chciał… Zdarza się, że osoba biorąca zwierzaka z Psitula do siebie, wzruszona ogromem psiego i kociego smutku, szybko decyduje się także na adopcję wirtualną.

W dniu pisania tego artykułu mieliśmy 288 zwierzaków w schronisku. Wszystkie miały wirtualnych opiekunów. Piętnaście osób ma po dwa pieski, trzy osoby nawet trzy, a dwie opiekują się czterema, pięcioma wnosząc większe opłaty niż prosimy. 24 zwierzaki mają podwójnych opiekunów. Mamy też rekordzistkę wśród wirtualnych rodziców, która ma dobre oko, bo większość wybranych przez nią piesków znalazło dom. Było ich aż dziesięć.

Wirtualna adopcja jest dla nas bardzo wymierną finansową pomocą. Pozwala bez strachu myśleć o opłaceniu comiesięcznego rachunku za opiekę weterynaryjną, umożliwia też pozytywną promocję schroniska dla bezdomnych zwierząt. Ma też aspekt dydaktyczny! Aż 27 przedszkoli i 32 szkoły mają swoje zwierzęta – ich zdjęcia wiszą więc w klasach, na korytarzach, w salach lekcyjnych. A jak cieszą się mali rodzice, gdy ich sierściak idzie do prawdziwego domku, trudno opisać. Internet dobrze użyty jest po naszej stronie mocy.

Świąteczne prezenty mogą być inne.

A gdyby tak zmienić trendy świątecznych prezentów? Można podarować najbliższym oryginalny pakunek i zrobić coś niekonwencjonalnego, coś przeciwko powszechnej konsumpcji. Zamienić kolejny krawat, książkę lub zestaw filiżanek na… wdzięczność najwierniejszego przyjaciela.
W grudniu uruchamiamy nasz wirtualny sklep, w którym można kupić „garść" ciepła na zimowe noce, zastrzyk szczęścia lub wykwintny posiłek w schroniskowej stołówce. Na naszej stronie www.psitulmnie.pl wybierając sobie zwierzaka, za odpowiednią dla Twojej kieszeni sumę, możesz: zostać wirtualnym opiekunem (dobrze jest marzyć o krewnych), kupić smycz i obrożę (czy psy kochają coś bardziej niż spacer i namiastkę wolności?), zaszczepić psa lub kota (zostajesz prawie lekarzem rodzinnym), dokupić legowisko (nasz pupil będzie o Tobie śnił), zaczipować psa (już się nigdy nie zgubi!).
W zamian za dokonaną wpłatę przesyłamy na podany nam adres mailowy prezent w postaci pliku, który można wydrukować i podarować komuś bliskiemu lub obwiązać kolorową wstążką, oprawić w ramki.

Klikasz i pomagasz…

2 listopada 2011 r. wystartowała pierwsza edycja akcji „Karmimy Psiaki" – ogólnopolskiej inicjatywy, której celem jest zebranie karmy dla psów ze Schroniska dla Bezdomnych Zwierząt PSITUL MNIE w Zabrzu. Jej mechanizm jest bardzo prosty – każde trzy osoby, które przyłączą się do akcji, to kolejny posiłek dla jednego z podopiecznych schroniska. Aby pomóc, wystarczy odwiedzić stronę www.karmimypsiaki.pl i wybrać psiaka, którego chce się nakarmić. Akcja będzie trwała trzy miesiące.

Poza możliwością zbierania posiłków strona zawiera również informacje o innych sposobach pomocy – począwszy od zapewnienia psu nowego domu, poprzez wirtualną adopcję, po polecanie akcji wśród znajomych. Można na niej znaleźć także specjalne banery do zamieszczenia na własnej stronie internetowej lub blogu. Organizatorzy mają nadzieję, że internauci – tak aktywni w przypadku podobnych inicjatyw – także tym razem staną na wysokości zadania i poświęcając zaledwie kilka minut pomogą polepszyć los wielu psiaków z zabrzańskiego schroniska.

Ileż można zrobić dobrego siedząc w ciepłym domku, popijając aromatyczną herbatkę i nie odchodząc od klawiatury! Dziękujemy wszystkim, którzy już się o tym przekonali. Pozostałych namawiamy do tego typu aktywności – niekoniecznie dla nas, ale właściwie… dlaczego nie?

wirtualna adopcja: 30zł/miesiąc

Europa zmienia trendy świątecznych prezentów!

Zamarznięte winnice

[tekst i zdjęcia WENANCJUSZ OCHMANN]

Nieco ponad 400 kilometrów dzieli stolicę Śląska od Purbach – małej miejscowości w austriackim regionie Burgenland. Po kilkugodzinnej, dość komfortowej podróży głównie autostradami Słowacji i Austrii, docieramy do największego austriackiego obszaru upraw winorośli. Do Wiednia mamy jedynie około 45 kilometrów, ale wiejskie otoczenie i sielskie widoki, otaczające nas zewsząd winnice, które „przysiadły" na łagodnych pagórkach oraz ogromne jezioro Neusidlersee, pozwalają całkowicie zapomnieć o wielkomiejskim zgiełku. To, co zwraca jednak przede wszystkim moją uwagę to zaskakujący widok krzewów winorośli – chyba pierwszy raz oglądam winnice, na których zimowa szadź malowniczo osiadła grubą warstwą. Gdzieniegdzie pozostawiono winne grona, pewnie by mogły posłużyć do produkcji słodkiego, deserowego Eiswein – wina lodowego.

Po tafli zamarzniętego jeziora, jak po wielkim lodowisku, dzieci i dorośli jeżdżą na łyżwach. Towarzyszą im radośnie rozbrykane psy. Latem obszar ten jest mekką dla kolarzy, którzy mogą rozkoszować się możliwością jazdy po licznych i świetnie przygotowanych trasach rowerowych. Najciekawsza okrąża jezioro i przebiega przez Austrię i częściowo Węgry. Ponad dwadzieścia lat temu przebiegała tędy ściśle chroniona granica pomiędzy wschodnią i zachodnią Europą, a dzisiaj w tym miejscu ledwo widoczne są słupki graniczne, no i zapada w pamięć dużo gorsza – po węgierskiej stronie – nawierzchnia drogi.

Wyjątkowe warunki klimatyczne, łagodny klimat, dobre nasłonecznienie oraz bliskość dużego, płytkiego akwenu, sprzyjają uprawie winorośli. Na dłuższą dyskusję, połączoną z degustacją tutejszych win, umówiliśmy się w miejscu chyba najbardziej odpowiednim – restauracji znajdującej się w dawnej piwnicy służącej do przechowywania i leżakowania tego wyśmienitego trunku. Kilkanaście schodków sprowadza nas do takiej chłodnej przestrzeni. W Purbach znajdują się całe ulice zabudowane tzw. „weinkelerami", których dachy porasta trawa. Jesteśmy gośćmi rodziny Sandhofer, do której należy 15 hektarów winnic. Tradycje winiarskie w tej rodzinie sięgają czasów panowania cesarzowej Marii Teresy, kiedy to przodkowie, obecnie kierujących tym rodzinnym przedsiębiorstwem Huberta i Michaeli Sandhoferów, przybyli do Burgenland z Tyrolu. Niezwykle ciekawej opowieści o pasji uprawy winorośli i tworzenia wina słuchamy degustując aromatyczne białe Gewürztraminer z roku 2007. Do obiadu decydujemy się na kieliszek popularnego czerwonego Blaufränkisch, a na koniec spotkania gospodarze proponują wyrafinowane Pinot Noir. Restauracyjka, bo zaledwie kilka stolików mieści się w tej niedużej piwnicy, prowadzona przez Birgit Sanhofer, jest znana z oryginalnej kuchni będącej połączeniem wpływów austriackich i węgierskich. Wszystko zresztą za sprawą dowodzącego kuchnią Węgra. Możemy więc zdecydować się na klasycznego winersznycla, ale gospodarze proponują nam znakomite potrawy oparte na produktach sezonowych i lokalnych, a zwłaszcza wyśmienitą zupę rybną na ostro.

Oprócz wspaniałej kuchni i wyśmienitego wina z własnych winnic restauracja słynie również z organizacji corocznych imprez tańczenia salsy na ulicy czy koncertów muzyki jazzowej. Przyjmujemy zaproszenie na nastrojowego, jazzowego, połączonego z degustacją win i tańczeniem klasycznego wiedeńskiego walca o północy, sylwestra i ruszmy na spacer do zabytkowego centrum. Tu niespodzianka – odkrywamy polskie akcenty. Na mozaikach obrazujących historię Purbach odnajdujemy charakterystyczne skrzydła polskiej husarii. Obszar ten został wyzwolony spod tureckiego najazdu właśnie, m.in. przez wojska polskie, podczas sławetnej odsieczy wiedeńskiej króla Jana III Sobieskiego w 1683 roku. Na innej mozaice bogato odziany Turek salwuje się ucieczką przez komin... To chyba najbardziej znana legenda z tego okresu – głosi, że dowódca wojsk tureckich musiał uciekać tą drogą, aby ratować życie. Komin ten można obejrzeć na żywo...

1,3 Winnice malowniczo pokryte szronem.
2 Rzędy wejść do kolejnych piwnic winnych w Purbach.

Polonez z Klaksonem

[tekst WALDEMAR GRUDZIEŃ]

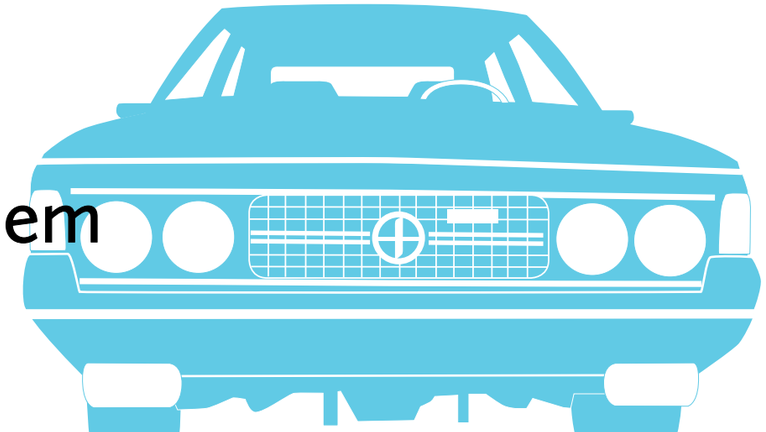

Wpadł mi wreszcie w ręce słynny paszkwil Pańskiego zresztą pióra – znanego globalnego speca od światowych czterech kółek – w którym pastwi się Pan nad naszym poczciwym polonezem, niegdyś flagowym okrętem lądowym polskiej motoryzacji. Nie mam zabezpieczonej wiedzy, czy mniemasz Pan, że onegdaj posiadałem taki wózek i na bazie tej zrodziło się we mnie kilka refleksji nasiąkniętych melancholią i rozrzewnieniem, jak chusteczka starej panny czytającej Harlequina. Dlatego proszę pozwolić, że w kilku zwięzłych zdaniach odpowiem na te plwociny, rzucone przez Pana także w moim kierunku, i „zatańczę" z Panem – tak szacownym guru wydechowej rury – po swojemu. Na wszelki wypadek zapoznaj się Pan z tym tekstem po godzinie 23., by nieopatrznie wyartykułowane podczas lektury „fuck", nie padło na dziewiczy aparat słuchowy, któregoś z Pańskich pacholęci.

Otóż, Panie Klakson! W czasach mojej młodości, gdy brontozaury pasły się swobodnie na każdym rondzie, a pterodaktyle fruwały między jaskiniami roznosząc pocztę, nabyłem w drodze kupna, za bony towarowe upodabniające zieloną walutę do wartości 1700, onyż samochód w wieku lat czterech i pół. Nie zaprzeczę, że nie był to ideał na gumowych kołach. A i owszem, pod względem konstrukcyjnym dorównywał wietnamskiej myśli technicznej, ostrzegawczo kaszlał na drodze i pod domem, na wsi i w mieście, w lesie i na nadmorskiej wydmie, mocno niedomagał w zimowym czasokresie, ale nie lądował w warsztacie częściej niż nasze F-16. Naturalnie fabryczna pozycja kierowcy – wpółleżąc – prowokowała pasażerów do uprawiania seksu, więc trzeba było uważać kogo się zabiera (dotyczyło to szczególnie nastolatek do lat 16, na których prokurator trzyma osobisty palec i przygodnych księży), droga hamowania była dłuższa niż żałobny kondukt, a odgłos silnika brzmiał, jakby ciągnięto blachę po asfalcie. Licznik w moim wozie do każdej prawdziwej wartości dodawał 100, by podnosić tygrysie ego kierowcy, ale gdybyś pan, Mr. Alarm, chciał na ten przykład, istotnie poszaleć na drodze nieco szybszego ruchu (innych jeszcze wtedy nie było) i wrzucić na licznik prawdziwe 130 km/godz., wymagało to złożenia u dobrego notariusza najnowszej wersji testamentu, oryginału ubezpieczenia na życie i zaświadczenia o poczytalności. A i tak zgniłyby panu cebulki włosowe.
Owej próby bicia rekordu szybkości w żadnym wypadku nie wolno było podejmować po zmierzchu, chyba że umie pan śmigać w strudze światła o natężeniu, które daje żarzący się papieros. Do wykorzystania natomiast był dodatkowy bieg – piąty – do mojego wozu przeszczepiony akurat ze snopowiązałki. Pozwalał on, a jakże, wyprzedzać łady samary, trabanty i wartburgi, tyle tylko, że ten manewr kończył się w następnej porze roku.
Nieco łagodniej było podczas parkowania. Zbyt nachalne manewrowanie w poszukiwaniu kawałka równego podłoża do postoju, groziło co najwyżej żylakami pod pachami. Żeby wydobyć z samochodu ostrzegawczy sygnał trzeba było, sorry Mister, przyp... pięścią w klakson. Ale kiedy rano mój polonez rzęził wypluwając sobie ołowiane płuca by zapalić, wiedziałem że ten wóz to prawdziwy macho, że może nie ma za dużo koni, ale ma za to jaja podczepione wprost do duszy. Nigdy nie chciał mnie zawieść i zawsze zawiózł tam, gdzie obiecał. Ja również dopieszczałem jego układ jezdny i nawet fundnąłem mu egzotyczny wypad do Grecji, z którego powróciliśmy w tych samych powłokach, w których wyjechaliśmy.
A tak już, by the way panie Klakson, gdybyś pan dysponował tak rozpasanym funduszem na zakup auta, jak owe 1700 dolców (sam sobie pan przelicz ile to jest wizerunków Królowej Matki), to nie szpanowałbyś pan żadnym swoim wozem, będąc co najwyżej szczęśliwym posiadaczem zapachu tapicerki z ferrari, końcówki drążka poprzecznego forda GT lub popielniczki z jaguara. Puściłbyś się pan w 3500-kilometrowy wojaż po Europie lub na weekend z laską na Jersey popielniczką? Ja za te pieniądze miałem solidną machinę drogową w kolorze młodego groszku i to metalik – chociaż wtedy oznaczało to tylko rodzaj materiału użytego do produkcji – z najlepszym na świecie systemem antywłamaniowym – wyglądem samochodu.
I jeszcze jedno. Polonez miał atut, który motoryzacyjnego szaleńca rzuca na kolana i każe mu walić głową o jego felgi, którego nie uświadczy w przypadku żadnej z pańskich wypasionych bryczek, choćby kosztowała tyle co pół hrabstwa Sussex – nowy egzemplarz w salonie był tańszy niż kilkuletni z drugiej ręki!

Jeremy Clarkson – angielski dziennikarz telewizyjny, podróżnik, literat, czołowy prezenter programu motoryzacyjnego Top Gear. Pisze również felietony do gazet, które następnie wydaje w formie książkowej. W jednym z odcinków swojego magazynu poświęconego samochodom z różnych krajów Europy i nie tylko, dość dawno temu, Clarkson zaprezentował w charakterystyczny dla siebie sposób, polskiego poloneza. Po kilkuminutowych kpinach z czołowego przez wiele lat na naszych drogach pojazdu, podniósł go dźwigiem na wysokość kilkunastu metrów i... zrzucił na betonowy grunt. W ten sposób badał jego „żywotność". W tym numerze Bedrifta odpowiadamy na tamto jednostronne potraktowanie poloneza przez Clarksona, przekazując mu jednocześnie kilka cennych, z pewnością nie znanych mu wcześniej, informacji na temat auta FSO. Dlaczego robimy to dopiero dziś? Ano dlatego, że wcześniej nie było Bedrifta...

Profesjonalne Kadry Mediów Lokalnych

Jesteś dziennikarką w miejskiej gazecie?

A może operatorem kamery w lokalnej telewizji?

Pracujesz w lokalnych mediach internetowych lub w radiu?

Nasz projekt jest dla Ciebie!

Fundacja ARTeria zaprasza do udziału w projekcie PROFESJONALNE KADRY MEDIÓW LOKALNYCH osoby pracujące w mediach – przede wszystkim lokalnych oraz mieszkające w woj. śląskim, które są zainteresowane zdobyciem nowych, uzupełnieniem lub podwyższeniem posiadanych kwalifikacji i umiejętności zawodowych.

Udział w projekcie jest bezpłatny.

W ramach projektu oferujemy zindywidualizowane doradztwo (identyfikacja potencjałów i potrzeb uczestniczek i uczestników) oraz specjalistyczne szkolenia m.in.:
- trening umiejętności społecznych/ interpersonalnych,
- ABC dziennikarstwa,
- aspekty prawne, prawo prasowe i autorskie,
- warsztaty specjalistyczne dla dziennikarzy i pracowników mediów (grupy: telewizja, radio, prasa, media internetowe),
- warsztaty operatorskie,
- warsztaty obróbki i montażu obrazu oraz dźwięku,
- ABC oświetleniowca,
- warsztaty wystąpień publicznych i kreowania wizerunku,
- warsztaty z logopedii, emisji głosu i pracy z mikrofonem,
- warsztaty „media internetowe",
- warsztaty „marketing w mediach lokalnych".

Udział w części zajęć jest obowiązkowy (m.in.: ABC dziennikarstwa, aspekty prawne), w części fakultatywny (wybór na podstawie zdiagnozowanych predyspozycji oraz potrzeb uczestników).

Uczestnicy otrzymują posiłek w trakcie zajęć trwających powyżej czterech godzin oraz zwrot kosztów dojazdów na zajęcia odbywające się poza miejscowością ich zamieszkania.

Biuro projektu:
Fundacja ARTeria
ul. Wolności 311, II piętro
T: 32777 44 11; F: 32777 44 12
e-mail: projekt@medialokalne.org
godziny pracy biura: 8.00 – 16.00

więcej na
www.medialokalne.org
oraz **www.fundacja-arteria.org**

arteria fundacja

Projekt jest współfinansowany przez Unię Europejską w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego (Program Operacyjny Kapitał Ludzki, poddziałanie 8.1.1 w woj. śląskim: Wspieranie rozwoju kwalifikacji zawodowych i doradztwo dla przedsiębiorstw).

KAPITAŁ LUDZKI
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ SPOŁECZNY

Człowiek - najlepsza inwestycja
Projek współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego